Nr. 23 (1118). Warszawa, dnia 25 Maja (7 Czerwca) 1902 r. Rok XXII.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### NOWE ŻYCIE.

Gdy w Ameryce wśród rokowań i układów w Pretoryi i Vereeniging gasło jedno życie międzynarodowe, w Ameryce, na morzu Antylskiem, rozpalało się inne, nowe. Dnia 20 maja generał Wood, naczelny dowódca wojsk wielkiej rzeczypospolitej północno-amerykańskiej na Kubie, własnemi rękoma zdjął z masztu na gmachu rządowym w Hawanie flagę amerykańską, a na jej miejsce zawiesił chorągiew narodową Kubańczyków: nowa Rzeczpospolita Kubańska wstępowała na widownię międzynarodową. Zdjęcie tak uroczyste flagi miało być symbolem nietylko pozostawienia Kuby samej sobie, ale i wyzwolenia jej z pod Hiszpanii, dokonanego właśnie przez Amerykanów, a nie przez kogokolwiek innego. Kuba, czemkolwiek będzie, cokolwiek się z nią stanie, swoją udzielność obecną, swoje życie dla siebie, u siebie zawdzięczać powinna ojczyźnie Waszyngtona. Przypomnienie takie nie było zbytecznem, zadowolenie dumy nie było nieprawem: gdyby nie Stany Zjednoczone, generał-kapitan hiszpański jeszcze-by dziś pracował nad uszczęśliwianiem wyspy — kulami i bagnetami.

Wielka rzeczpospolita w Ameryce może być dumną i z tego, że będąc zarazem i wielkiem mocarstwem w świecie, umiała być uczciwą, że odparła pokusy i zamiast złamać dane słowo, dotrzymała go — nie bez zgorszenia ludzi z rzemiosła politycznego, uważających wszelkie przypadkowe nawet posiadanie za czystą, niepokalaną własność, a wszelkie zobowiązania za ważne tylko wobec siły. Czyn wyzwolenie w r. 1898 nabrał istotnej wagi dopiero w r. 1902, przez ten czyn wyrzeczenia się, teraz właśnie spełniony. Sprawia on tem większą przyjemność umysłowi, oswojonemu z widokami dziejów powszechnych, że jest do pewnego stopnia niespodzianką. Gospodarka tego samego gen. Wooda, który d. 20 maja jako pełnomocnik wielkiej rzeczypospolitej flagę jej z nad Hawany zdejmował, jeszcze w r. 1901 nie wróżyła dla etyki, dla najelementarniejszej pojęciowo uczciwości, nic pomyślnego, a dyktatura do końca r. 1899 na wyspie przez Amerykanów sprawowana wzniecała nader poważne obawy: czy też pamiętają oni jeszcze o rezolucyi Izby reprezentantów kongresu z kwietnia 1898 r. i o orędziu Mc Kinleya z d. 22 t. m., oznajmiającem światu wojnę z Hiszpanią o Kubę — dla Kuby.

Rezolucya kongresu w Izbie reprezentantów opiewała: „Lud Kuby ma prawo być wolnym i niepodległym. Lud Stanów Zjednoczonych odpycha od siebie wszelkie takie zachcianki i zamysły, któreby zmierzały do sprawowania nad wyspą najwyższowładztwa, juryzdykcyi czy też kontroli, mającej na celu co innego, niż ustalenie spokoju. — Kongres postanawia z chwilą osiągnięcia tego celu uspokojenia, rząd i kontrolę nad rządem na wyspie zwrócić jej ludowi.“ To postanowienie kongresu rząd amerykański teraz wykonał. Pomimo całej powagi instytucyj republikańskich, pomimo stałości i prawidłowości ich funkcyj i całej udzielności kongresu, możnaby powątpiewać, czy postanowienie to, będące zarazem zobowiązaniem się wielkiej rzeczypospolitej względem Kuby, spełniłoby się równie łatwo, gdyby nie zamach wrześniowy. Mc Kinley nie miał w sobie takiej miary, takiej linii prostej w charakterze, takiego humanitaryzmu w polityce, ażeby pokusa nieoddania tego, co się raz zabrało, mogła nie mieć do niego przystępu, któryby go już pobudzić musiał do wywarcia odpowiedniego wpływu na kongres, na senat zwłaszcza, przez konstytucyę sama do pilnowania polityki zagranicznej prezydenta powołany, a zapełniony imperyalistami, dbającymi tylko o moc i potęgę.

Apetyty nieraz się jeszcze odezwą, zbudzą się jeszcze nowe; obecnie wszakże zmógł je wstyd. Kuba ma wyzwolenie na dziś, ma je dziś, i dziś też korzystać z niego powinna. Nie jest ono doskonałem; ale ograniczenie, choć w rezolucyi nie wspomniane, wyniknęło z samego stosunku przy podejmowaniu wojny z Hiszpanią. Kuba nie będzie doskonale międzynarodowo wolną, niepodległą. Stany Zjednoczone mają nad nią protektorat, osłaniający ją od zaborów przyszłych, ale i zarazem ograniczający ją w prawach obecnych. Wszelkie jej układy polityczne i handlowe potrzebują ostatecznego zatwierdzenia przez rząd unii. Prawo sprzymierzania się może być tylko takiem, jakiem je Stany Zjednoczone widzieć zapragną. Nowa rzeczpospolita, będąc państwem udzielnem, nie jest jednak mocarstwem samoistnie żyjącem: ma politykę wewnętrzną, ale nie ma zagranicznej. Jest zbyt słabą, aby sobie na taką udzielność pozwolić mogła bez niebezpieczeństwa dla siebie. Protektorat Stanów Zjednoczonych wszakże, wytykając granice szlachetnym porywom dumy, jednocześnie daje rękojmię dla bytu samoistnego, dla wewnętrznego rozwoju, dla tego, co zapewnia rzeczywiste życie w wolności. Jeżeli przeznaczeniem Antyllów jest dostać się kiedyś pod gwiaździstą chorągiew, — na drogę tego przeznaczenia Kuba wchodzi w warunkach najpomyślniejszych, najlepiej odpowiadających prawu i obowiązkowi życia.

## Nowa ustawa antypolska w Sejmie pruskim.

Berlin, 30 maja.

Jak zapewniają niektóre osoby z tajemniczemi minami, przedstawienie odbyło się na „specyalne żądanie.“ Ktoś wyraził życzenie, aby z Polakami załatwiono się jak najprędzej i, wyznaczając za jednomyślną zgodą sejmu pruskiego, imponującą sumę 450 milionów marek na cele kolonizacyjne w prowincyach wschodnich, pokazano światu, że — jeszcze Niemcy nie zginęły. Niestety, przedstawienie zawiodło oczekiwania powszechne. Ani oszołomiło Polaków, ani przejęło dumą i otuchą Niemców. Polacy odczytali płomienny protest przeciwko zwiększeniu funduszu kolonizacyjnego, powołując się na ideały ludzkości, sprawiedliwość, a nawet na prawo przyrodzone każdego narodu do istnienia, przyczem demonstracyjnie opuścili salę obrad ku utrapieniu Prusaków, którzy przygotowywali się już do świetnego tryumfu polemicznego, chcąc Polakom dowieść jak na dłoni, iż ma prawo do istnienia tylko silny. Pozostawieni zaś samym sobie, wygłosili szereg smutnych monologów ze stale powracającym refrenem na temat bankructwa polityki kolonizacyjnej. We wszystkich bez wyjątku mowach przebijała ta sama myśl, iż proponowane 450 milionów — to stawka człowieka, który przegrał wszystko do ostatniej nitki! Ta jednak świadomość podsycała jeszcze silniej przekorność hakatystyczną i butę ludożerczego fanatyzmu. Te właśnie sprzeczne, a jednak harmonijnie zespalające się uczucia, dźwięczały we wszystkich mowach, wygłoszonych z powodu nowej ustawy antypolskiej.

Hr. Bülow, pierwszy obrońca urzędowy nowej ustawy, poprzestający tylko na potwornem wzmocnieniu funduszu kolonizacyjnego i częściowem zmodyfikowaniu jego celów, rozpoczął swą filipikę od bardzo naturalnego pytania: „Azali Prusy mają prawo kuć oręż przeciwko Polakom?“ Nie znajdując widocznie dość przekonywającej odpowiedzi na powyższe pytanie retoryczne, mówca zastąpił „prawo“ „obowiązkiem.“ Niemcy mają *obowiązek* zwalczać Polaków w celach... samoobrony. Pomyśleć tylko — woła on — jakie okropne rozmiary przyjęł agitacya „wielkopolska.“ Niechaj jednak nikt nie posądza rządu pruskiego o bezprawie. Ani jeden włos nie spadnie Polakom z głowy wbrew konstytucyi. On, hr. Bülow, był zawsze przeciwnikiem — któżby śmiał wątpić o tem! — szykan policyjnych, tem bardziej szykan drobnostkowych. Tu trzeba rozjuszonego wołu „wielkopolskiego“ wziąć odrazu za rogi. A na to jest jeden tylko środek „wypróbowany“ — kolonizacya. Wytrzymała ona próbę zarówno ekonomiczną, jak polityczną. Odkrył tę skuteczną odtrutkę na jad polski nieboszczyk Bismarck w 1886 r., a udoskonalił ją w 1898 r. znany przedstawiciel szkoły i tradycyi bismarkowskiej — Miquel. W apteczce rządowej ze środka tego prawie już nic nie zostało, i dlatego należy nietylko wyczerpany zapas uzupełnić, ale nawet podwoić. Wprawdzie jest to bardzo potężna suma 450 milionów marek, ale za to każdy Prusak będzie dobitnie czuł, czego się ma spodziewać po swym rządzie. Dodatkowe 250 mil. marek będą rękojmią konsekwencyi i stałości w sprawach polskich. Taka gwarancya warta doprawdy ćwierć miliarda. Trudno byłoby zaprzeczyć — wywodził dalej w tonie minorowym hr. Bülow — iż komisya kolonizacyjna nie przyniosła dotychczas oczekiwanych skutków. Ale tylko ludzie naiwni mogą żądać owoców z ziarna politycznego, posianego dopiero przed 15 laty. Walka z żywiołem polskim jest obliczona na pokolenia i stulecia! Śmiesznem więc byłoby już teraz domagać się skutków. Zresztą komisya osiedliła na kresach wschodnich 4,700 wiernopoddańczych chłopów niemieckich i nabyła 165,000 hektarów. Oczywiście kanclerz nie dodał, od *kogo* nabytą została ta ziemia, bo inaczej skompromitowałby komisyę, która właściwie dotychczas pośredniczyła przeważnie w przejściu ziemi z rąk niemieckich na własność Niemców. Kolonizacya — trzeba wyznać szczerze — ciągnął dalej — ma do zwalczania liczne trudności. Nabywając ziemię, komisya musi czekać dłuższy czas, nim zgłoszą się na nią kandydaci. Osiedleńcy stanowią zwykle oazę w otoczeniu polskiem i dlatego nie wywierają pożądanego wpływu politycznego i kulturalnego. Na to wszystko jest jeden doskonały środek. Z majątków nabywanych część zostanie wcielona do dóbr koronnych. Państwo zaś wydzierżawi tę ziemię i w ten sposób ściągnie do kresów ludzi potrzebnych. Złośliwi gotowi odkryć sprzeczność pomiędzy tą modyfikacyą a pierwotnym celem kolonizacyi, który polegał właściwie na demokratycznej parcelacyi majątków wielkich. Otóż sprzeczności niema tu wcale, gdyż nieboszczyk Bismarck wyznał szczerze pielgrzymom, przybyłym do Warcina, iż nie szło mu zgoła o parcelacyę. Przeciwnie, pragnął z całej duszy zwiększenia dóbr koronnych w dzielnicach wschodnich, ale myśl tę trudno było wówczas przeprowadzić.

Pesymiści i sceptycy mogą postawić jeszcze ostrzejszy zarzut. Kolonizacya — powiedzą — nie przyniosła dotychczas sprawie szerzenia niemczyzny żadnej korzyści i była tylko pogotowiem ratunkowem dla wykolejonych właścicieli ziemskich, od których komisya kupowała ziemię po cenie wysokiej w chwili, gdy ci blizcy już byli bankructwa. Zarzut jest bezwarunkowo niesłuszny. Od czegóż zresztą jest on, kanclerz? Wszak obowiązkiem jego będzie czuwać, aby wzniosła instytucya kolonizacyjna pozostała wierną powierzonemu sobie zadaniu. Na zakończenie nastąpiła okrasa frazeologiczna, która miała zaklajstrować sprzeczności i wątpliwości wygłoszonej mowy, będącej istotnie skandalem logicznym i parlamentarnym.

Po Bülowie zabrał głos pełnomocnik centrum. Wystąpienie jego stanowi epokę w rozwoju stosunków tego stronnictwa do Polaków. Zwykle, gdy była mowa o komisyi kolonizacyjnej, centrum katolickie wytykało antykonstytucyjny jej charakter. Tym razem poseł centrowy odkrył, iż formalnie wszystko jest w porządku. Dopiero zapuściwszy się głębiej w istotę ustawy, spostrzegamy jej charakter wyjątkowy. Bolesnem jest zwłaszcza to, iż komisya sprzyja protestantom, wykluczając od jej dobrodziejstw Niemców katolickich! Dotychczas fundusz kolonizacyjny chybił zupełnie celu. Przeciwnie, w przeciągu ćwierćwiecza przed 1886 r. Polacy stracili na korzyść Niemców 200 tys. hektarów, od tegoż zaś roku polska posiadłość ziemska zwiększyła się w porównaniu z niemiecką. Cena gruntu polskiego poszła również w górę, a nowa ustawa podniesie ją z pewnością jeszcze wyżej. Centrum umywa ręce, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za politykę, której rząd będzie z czasem żałował. Ale — i tu mówca centrowy, w myśl tradycyi, piastowanej przez jego partyę — wywinął koziołka — centrum nie ma nic przeciwko przekazaniu ustawy komisyi sejmowej. Można byłoby podziwiać tę niekonsekwencyę, gdybyśmy nie wiedzieli, iż jest to jedna ze sztuczek dwulicowego obłudnika i szachraja, jakim jest stronnictwo centrum.

---

L. ANDREJEW.

## MUR

OPOWIADANIE.

### I.

Ja i drugi trędowaty podpełzliśmy ostrożnie do samego muru i spojrzeliśmy w górę. Nie było stąd widać szczytu; mur wznosił się, prosty i gładki, i zdawał się rozcinać niebo na dwie połowy. Nasza połowa była czarno-bura, zaś na skraju widnokręgu ciemno - niebieska, tak że nie można było rozróżnić, gdzie kończy się czarna ziemia, a gdzie zaczyna się niebo. A noc czarna dyszała, przytłoczona przez jedną i drugie, i jęczała głucho i ciężko, a z każdem westchnieniem wypluwała ze swego łona piasek ostry i palący, który piekł boleśnie nasze rany.

— Spróbujmy przeleźć na drugą stronę— rzekł do mnie trędowaty, a głos jego był nosowy i oddech smrodliwy, taki sam, jak i mój. I podstawił plecy, a ja stanąłem na nich, ale mur był wciąż równie wysoki. Rozcinał ziemię i niebo, leżał na niej, jak tłusta, syta żmija, spadał w przepaść, wznosił się do góry, a głowę i ogon skrywał za widnokręgiem.

— A więc rozwalmy go! — proponował trędowaty.

— Rozwalmy! — zgodziłem się.

Uderzyliśmy w mur piersiami, i mur się zaczerwienił krwią naszych ran, lecz pozostał głuchy i nieruchomy. Rozpacz nas ogarnęła.

— Zabijcie nas! zabijcie nas! — jęczeliśmy, pełznąc przed siebie, lecz wszystkie twarze odwracały się od nas z obrzydzeniem, i widzieliśmy tylko plecy, wzdrygające się głębokim wstrętem. Tak dopełzliśmy do głodnego. Siedział on, oparty o kamień, i zdawało się, że nawet granit czuł ból przy zetknięciu z jego ostremi, kolącemi łopatkami. Nie było na nim wcale mięsa, kości chrzęściły przy każdem poruszeniu, a sucha skóra szeleściła. Jego dolna szczęka obwisła, a z ciemnego otworu ust dawał się słyszeć głos suchy, chrapliwy:

— Je-stem głod-ny!..

Roześmieliśmy się i popełzliśmy szybciej, dopóki nie spotkaliśmy czworga takich, którzy tańczyli. Ci zbliżali się do siebie, oddalali, obejmowali się, wzajemnie i kręcili, a twarze ich były blade, zmęczone, bez uśmiechu. Jeden z nich zapłakał, bo zmęczył go ten taniec bez końca, i prosił, żeby przestać, lecz drugi objął go w milczeniu i zaczął się z nim kręcić, więc znów zbliżał się i oddalał, a przy każdym kroku upadała wielka, mętna łza.

— Chcę tańczyć! — wybełkotał mój towarzysz, lecz pociągnąłem go dalej.

Przed nami był znów mur, a przy murze siedziało dwóch ludzi. Jeden z nich co pewien czas uderzał głową o mur i padał, tracąc przytomność, a drugi patrzył na niego poważnie, macał ręką jego głowę, potem mur, i kiedy tamtemu wracała przytomność, mówił:

— Trzeba jeszcze; teraz już niedużo zostało.

I zaśmiał się trędowaty.

— To głupcy! — powiedział, wesoło nadymając policzki. — To głupcy! Oni myślą, że tam jasno. A tam też ciemno i także pełzają trędowaci, i proszą: zabijcie nas!

— A starzec? — spytałem.

— Cóż starzec? — odparł trędowaty. — Starzec głupi, ślepy i nic nie słyszy. Kto widział dziurkę, którą on w ścianie wydłubał? Tyś widział? Może ja widziałem?

A ja się rozgniewałem i uderzyłem towarzysza po pęcherzach, tworzących się na jego czaszce, tak, że go zabolało, i krzyknąłem:

— A pocóżeś ty tam łaził?

Tu nastąpiło odczytanie deklaracyi posłów polskich. Z tego w pełnem słowa znaczeniu historycznego dokumentu przytoczymy ustępy najwybitniejsze. „Mamy wszelki powód do ponowienia i obostrzenia protestu, gdy rząd państwowy niniejszym projektem złożył dowody, że niepomny najelementarniejszych obowiązków wobec obywateli państwa pruskiego, zdecydowany jest kroczyć dalej zgubną swą drogą. Według naszego najgłębszego, niewzruszonego przekonania, uchybia projekt ten, tak samo jak poprzedni, najprostszym zasadom prawdy i prawa, oraz wyraźnym przepisom konstytucyjno-państwowym zarówno pruskim, jak niemieckim... Jest on w sprzeczności z prawdą, ponieważ nie wrzekome wzmocnienie niemczyzny, lecz raczej... wytępienie ludności polskiej jest jego przeznaczeniem prawdziwem... Od dziesiątków lat prowadzi się za pomocą wszelkich środków państwowych nieubłaganą walkę przeciwko ludności, której jedyna wina polega na tem, że jest polską i chce taką pozostać. Projekt narusza podstawowe prawa polityki i prawa przyrodzonego... Narusza on zasady moralności, gdyż ma na celu wyzyskanie ekonomicznej niedoli jednostek, aby tą drogą udzielać korzyści pewnej klasie i rozbudzić gwałtowne objawy przeciwieństw narodowościowych; potem zaś z wywołanego wśród polskiej ludności rozgoryczenia wysnuć powody do nowych praw wyjątkowych przeciwko uciśnionym. Tak tedy projekt ten jest krzyczącem zaprzeczeniem tego, co w państwach i narodach kulturalnych uważane bywa za prawo i sprawiedliwość. Ma on wytworzyć stosunki, które w każdem innem państwie, jako potworne i bezprzykładne, byłyby niemożliwe, zmusza bowiem pewną część ludności, aby dawała pieniądze na własną zagładę." Sejm przyjął deklaracyę tę zupełnie obojętnie.

Sławetny Tiedemann z historycznej trójcy H. K. T., zagrzewał oczywiście do przyjęcia ustawy, ale i ten Pindar hakatystyczny nie mógł ukryć przed parlamentem faktu, iż dotychczas instytucya chybiła celu. Według niego, nie powinna była kupować majątków w okolicach czysto polskich, gdyż w ten sposób wytwarzała tylko dyasforę niemiecką. Błędem było również rozbijać majątki na zbyt małe parcele—itd.

Poseł militarnego liberalizmu, t. zw. zjednoczenia wolnomyślnego, ulegając powszechnej epidemii antypolskiej, wbrew tradycyi swego stronnictwa, przyklasnął również tym razem ustawie rządowej. Wszelkie teorye i sentymenty są tu nie na miejscu. „Zresztą czyż Polacy lepiej postąpiliby z Niemcami, gdyby byli na miejscu tych ostatnich?" Ludzie zepełnie nie rozumieją szkoły tej walki. Powszechnie panuje przypuszczenie, jakoby cnotliwy, poważny i porządny Niemiec walczył z niedbałym Słowianinem o ziemię. Jest to gruby błąd! „Polacy ogromnie się zmienili" — wołał mówca, pełen zachwytu dla Polaków, których maluje się na zmianę, już jako nieponiów, już jako zuchów, ponieważ w jednym wypadku, jako rasa słaba, w drugim, jako silna, zasługuje na zagładę. „O! Polacy ogromnie się zmienili. Pod względem oszczędności i pracowitości chłop polski lub kupiec zatkną za pas niejednego Niemca." Germańskie plemię nie może przeto żadną miarą dotrzymać kroku Polakom — dorzucił humorostyczny mówca.

Punkt kulminacyjny rozpraw stanowiła cięta mowa znanego posła Eugeniusza Richtera. Co prawda, w jego słowach najsubtelniejsze ucho nie odkryje śladu sympatyi dla uciśnionego narodu. Nie powoływał się rycerz opozycyi liberalnej ani na ideały ludzkości, ani na braterstwo ludów, gdyż hasła te, jako staromodne, złożono dziś do lamusa stylistycznego. Więcej czuć było w jego chłostach przekorności antyrządowej, niż drgnienia serdecznego humanisty. Mimo to mowa Richtera różni się o całe niebo od krzyżackich i szowinistycznych wycieczek innych posłów. Lękając się nieporozumień, zaznaczył na wstępie, iż, zdaniem jego, dzielnice polskie powinny i nadal pozostać częściami składowemi państwa pruskiego. Ale z jakiej racyi pozbawiać Polaków ich praw obywatelskich? Nowa ustawa jest zatem naruszeniem podstaw konstytucyjnych. Jest to prawo wyjątkowe. Gdy w Alzacyi zniesiono dopiero co paragraf o dyktaturze, obdarza się Polaków nowemi prześladowaniami. Obostrzenie prawodawstwa antypolskiego wzmocni tylko solidarność Polaków. Bismarck właściwie chciał pierwotnie osłabić szlachtę polską. Tymczasem komisya nabyła wszystkiego tylko 123 wielkie folwarki. Ostatniego roku trzy czwarte kupionych majątków pochodziło od Niemców. Bismarck zapewniał, iż szlachta polska wywędruje do Galicyi, a nawet do Monaco! Obietnice jego nie sprawdziły się. Dzięki komisyi, cena majątków miejscowych rośnie z roku na rok, a polscy właściciele ziemscy zyskują coraz większy kredyt. Przyspieszone tempo kolonizacyi zachęci tylko Niemców do sprzedaży. Dotychczas ściągnęła komisya do prowincyj wschodnich trzy tysiące kolonistów — liczba śmiesznie mała wobec dwu milionów Polaków. Dobra koronne, mające uledz powiększeniu, będą same zmuszone posługiwać się pracą robotników polskich. Słowem, cała ustawa jest szkodliwym nonsensem i z tej racyi należy ją zupełnie odrzucić.

Oczywiście, sejm pruski nie usłuchał ostrzeżeń Richtera i przekazał projekt komisyi parlamentarnej.

*H.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Podróż prezydenta Loubeta do Rosyi wzmocniła objawy łączności, zespalającej politykę obu państw. Prezydent, aby zawinąć do Kronsztadu w d. 20 z. m., już d. 12 wyjechał z Paryża; d. 13 i 14 spędził w Breście na demonstracyjnych obchodach zadowolenia z podjętej podróży. Na pokład pancernika „Montcalm" wstąpił Loubet d. 14 z. m. i zaraz wyruszył w drogę. Dnia 20 przybywszy do portu kronsztadzkiego, zamieszkał w pałacu carsko-sielskim. Tegoż dnia odbył się obiad galowy, nazajutrz przegląd wojsk, d. 22 odwiedziny Petersburga, d. 23 w samo południe odjazd. Mowy podczas przyjęć podawały współcześnie *Goniec Urzędowy* i Agencya telegraficzna rosyjska. Z powrotem prezydent zatrzymał się w Kopenhadze. Do Francyi zawitał d. 28 z. m. Po krótkiem wytchnieniu pojechał do matki do Montelimar. Wrócił na pierwsze posiedzenia Izby nowowybranej w kwietniu.

W Izbie tej, mimo deklaracyi półurzędowców, skład zmieniony: przybyło nacyonalistów, ale i ubyło połowicznych republikanów. Gdy się zważy miąższ republikanizmu dawniejszy i obecny, ten drugi przeważa. Odpowiednio też musi się ukształtować i sztab w Izbie i ster w rządzie. P. Deschanel już nie wystarczał: obrano na pierwszem posiedzeniu porządkowem d. 1 b. m. Leona Bourgeois. Gabinet Waldeck-Rousseau'a, najtrwalszy ze wszystkich gabinetów trzeciej rzeczypospolitej, powitał wracającego prezydenta swoją dymisyą; rozsądek mówi, że następcy dzisiejszych ministrów będą mocniej od nich wszelkimi *izmami* republikańskimi zabarwieni. Opinia wysuwa senatora Combes'a na sternika. Wybór Bourgeois musi być powtórzonym i wtedy dopiero stanie się ostatecznym. W mowie wstępnej no-

---

On zapłakał i płakaliśmy obaj i popełzliśmy dalej, prosząc:

— Zabijcie nas! Zabijcie!

Lecz twarze odwracały się z drgawkami wstrętu, i nikt nas nie chciał zabić. Zabijali pięknych i silnych, a nas bali się dotknąć! Tacy podli!

II.

Nie istniał dla nas czas, nie było ni wczoraj, ni dzisiaj, ni jutra. Noc nigdy nas nie opuszczała, nie odpoczywała za górami, aby powrócić silną, jasno-czarną i spokojną. Dlatego też była zawsze tak zmęczona, ponura i oddychała tak ciężko. Zła była. Zdarzało się, że nie mogła już znieść naszych płaczów i jęków, nie mogła patrzeć na nasze rany, na naszą złość i niedolę, i wtedy pierś jej czarna, głucho pracująca, wzrała wściekłą burzą. Ryczała na nas, jak zwierz w niewoli, któremu się rozum pomieszał, i błyskała gniewnie strasznemi, ognistemi oczyma, rozjaśniającemi czarną, bezdenną przepaść, ponury, dumnie spokojny mur i politowania godną gromadkę drżących ludzi. Ci tulili się do muru, jak do przyjaciela, i prosili go o obronę, lecz on był zawsze naszym wrogiem, zawsze. I noc oburzała się na podłość i tchórzliwość naszą i zaczynała śmiać się groźnie, trzęsąc swym szarym, pełnym plam brzuchem, a stare, łyse góry podchwytywały ten śmiech szatański. Wtórował mu głośno mur, ponuro rozweselony, rzucał na nas swawolnie kamieniami, a te kamienie rozbijały nasze głowy i rozpłaszczały nam ciała. Tak się weseliły te olbrzymy i wołały do siebie, a wiatr świstał im dziką melodyę, my zaś leżeliśmy twarzami do ziemi i słuchaliśmy z przerażeniem, jak się w jej wnętrzu coś wielkiego przewraca, warczy i stuka, chcąc się na wolność wydobyć. I znowu błagaliśmy wszyscy:

— Zabijcie nas!

Lecz umierając co sekunda, byliśmy nieśmiertelni, jak bogowie.

Mijał poryw bezrozumnego gniewu i wesołości, i noc płakała łzami żalu i wzdychała ciężko, charcząc na nas mokrym piaskiem, jak chora. Przebaczaliśmy jej z radością, śmieliśmy się z niej, wycieńczonej i słabej, i byliśmy weseli, jak dzieci. Płacz głodnego wydawał nam się słodkim śpiewem i spoglądaliśmy z wesołą zawiścią na tych czworo, którzy się zbliżali, oddalali i kręcili w tańcu bez końca.

I my zaczynaliśmy się kręcić para za parą, i ja, trędowaty, znajdowałem sobie chwilową towarzyszkę. Tak było wesoło, tak przyjemnie! Obejmowałem ją, a ona się śmiała; ząbki jej były bielutkie, bielutkie, a policzki różowiutkie, różowiutkie. To było takie przyjemne, przyjemne!

Niewiadomo czem się to działo, lecz zęby, radośnie wyszczerzone, zaczynały szczękać, pocałunki stawały się octem, i z piskiem, w którym nie znikła jeszcze radość, zaczynaliśmy gryźć i zabijać się wzajemnie. I ona, z tymi białymi ząbkami, biła mnie także po mej słabej, bolącej głowie, wpijała się ostrymi paznokietkami w moją pierś, sięgając aż do serca, biła mnie, trędowatego, biednego. I to było straszniejsze od gniewu nocy i od bezmyślnego śmiechu muru. A ja, trędowaty, płakałem i drżałem ze strachu i cichutko, w tajemnicy przed wszystkimi, całowałem obmierzłe stopy muru i prosiłem go, żeby mnie, mnie tylko puścił do tego świata, gdzie niema szaleńców, zabijających się wzajemnie. Lecz podły mur nie puszczał mnie — więc plułem na niego, zadawałem ciosy kułakami i krzyczałem:

— Patrzcie na tego mordercę! On się z was śmieje!

Lecz głos mój był nosowy, a oddech smrodliwy, i nikt nie chciał słuchać mnie, trędowatego.

(D. n.).

wy prezes Izby, dając ujście przeświadczeniom i nadziejom nowego położenia, charakter przymierza określił jako kulturalny i humanitarny.

Od czterech lat po raz pierwszy Przedlitawia zamiast ułamków miesięcznych ma całkowity budżet uchwalony. Stało się to dzięki szczęśliwemu zbiegowi namiętności, które na siebie natarłszy, wzajemnie się zobojętniły: Czesi, spodziewając się ustępstw, nie chcieli z rządem zrywać, Niemcy, licząc na niemieckość Koerbera, chcieli go do siebie przykuć. W każdym razie p. Koerber górą i może bez blagi być dumnym. Izba uchwala projekty finansowe. Delegacye wyciągają różne pasma z exposé p. Gołuchowskiego, z przymierza samego, z położenia Europy, z polityki Prus względem Polaków, z przyszłości, którąby teraźniejszością być powinna i przeszłości, która teraźniejszością jeszcze być nie przestała. Wogóle z wyjątkiem Niemców nikt nie jest zadowolonym z przymierza, ale tylko Czesi stanowczo je odrzucają — nie dając na jego miejsce nic prócz piankowych wyrobów przemysłu krytycznego. Pp. Dzieduszycki i Madejski dali wyraz niezadowoleniu Galicyi z Prus, ale obaj trójprzymierze za konieczne uznali — drugi lepiej od pierwszego. Budżet spraw zagranicznych uchwalono. P. Gołuchowski nie umiał wywinąć się z *Los von Rom*; słusznie go też szarpano za niezręczność: w dyplomacyi zręczność jest mądrością.

Ugoda z Węgrami znowu zagrożona. P. Koerber jeździł do Pesztu, wrócił, znowu jeździł, a Węgrzy ciągle się burzą i przygotowują już do niezawisłości cłowej. Komisye kwotowe nie ustaliły jeszcze między sobą zgody: przedlitawska proponuje 65,6 i 34,4 na sto. Wogóle grunt drży pod stopami. Pragnienie nowości, ratunku przez coś nowego. P. Jaworski myśli o większości — bez Czechów, za to z wszystkimi nie-pruskimi Niemcami. Czesi zaczynają znowu wołać o język, nie opowiedziawszy się p. Jaworskiemu. Niemcy radziby mieć Chlumeckiego i już go na czele gabinetu stawiają. Na Węgrzech też Szell ma ustąpić Daranyiemu: same pragnienia i domysły. Przyszły cesarz, arcyks. Ferdynand Franciszek, ma być skłonniejszym od teraźniejszego do autonomicznego urządzenia Przedlitawii; ale nie jest o tyle poważnym, aby Franciszek Józef mógł mu spokojnie oddać rządy państwa.

D. 31 z. m. wieczorem podpisali delegaci Boerów pokój z Anglią, w imieniu której działali Kitchener i Milner. Obie rzeczypospolite przestają istnieć, król Edward VII będzie i królem Boerów jako poddanych państwa angielskiego. W Londynie d. 1 czerwca panowała niepamiętna radość. Król otrzymał powinszowania. Koronacya d. 26 b. m.

D. 27 z. m. Izba poselska sejmu pruskiego obradowała nad wiadomym projektem rządu; odesłała projekt do komisyi; komisya miała już czas przyjąć go 13 głosami przeciwko 7. O przyjęciu przez sejm nikt nie wątpi. Koło polskie odrazu założyło protest; wytykając w nowem prześladowaniu pogwałcenie konstytucyi, niemoralność i nieludzkość. Protestacyę wygłosił poseł Szuman.

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY GALICYJSKIE.

O podnoszeniu się stopniowem poziomu oświaty ludu polskiego w Galicyi świadczy znaczny stosunkowo rozwój czytelnictwa. Obecnie Galicya ma już samych polskich czytelni ludowych 1,219. Z tych 741 (60%) założyło krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej; lwowska organizacya o tej samej nazwie powołała do życia 380 czytelni (31%), a Towarzystwo szkoły ludowej zorganizowało ich 98 (9%). W Galicyi zachodniej mamy 717 czytelni, 8 wypożyczalni w Krakowie; w Galicyi wschodniej — 495, włączając w to już 15 wypożyczalni lwowskich. Najwybitniejszą działalność na tem polu rozwija krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej, chociaż pod względem jakościowym praca jego posiada mniejszą wartość od usiłowań Towarzystwa we Lwowie, ponieważ w Towarzystwie krakowskiem rej wodzą żywioły niezbyt przychylnie usposobione dla rzetelnej oświaty ludowej. Dobór książek, w jakie zaopatruje Towarzystwo krakowskie zakładane przez siebie czytelnie, pozostawia dużo do życzenia. Bądź co bądź jednak, każda czytelnia bez względu na przewagę wydawnictw tego czy innego kierunku, staje się poważnym ośrodkiem kulturalnym i pobudza lud do szukania innych źródeł oświaty. Krakowskie Towarzystwo rozpowszechniło dotychczas 194,201 książek wartości 130,969 koron.

Nie poprzestając na tej części kraju, w której ludności polskiej nie zagraża wynarodowienie, krakowskie Towarzystwo zwróciło uwagę na Galicyę wschodnią, następnie zaś na Śląsk Cieszyński. Do działalności na Śląsku Towarzystwo przystąpiło po raz pierwszy w roku ubiegłym, zakładając tam 6 czytelń. Obecnie więc w Cieszyńskiem jest, oprócz tych sześciu, jeszcze 17 czytelni: 3 założone przez lwowskie Towarzystwo, a 14 przez Towarzystwo szkoły ludowej. We wschodniej części kraju, gdzie lud polski, otoczony zwartą masą Rusinów, wynaradawia się dość szybko, rozwój czytelni ludowych (polskich) wygląda dosyć smutno. Tak np. z pomiędzy 83 czytelni, założonych przez Towarzystwo krakowskie, 27 jest nieczynnych, głównie z powodu braku kierowników. Swoją drogą te czytelnie, które posiadają odpowiednio uzdolnionych kierowników, wpływają bardzo dobrze na rozwój świadomości narodowej wśród ludu polskiego w Galicyi wschodniej.

W ostatnich czasach poczęto w Galicyi zwracać uwagę na to szybkie rutynizowanie się włościan we wschodniej części kraju. Że drobne osady polskie nikną w morzu rusińskiem, jest to zupełnie naturalne: dzieje się to na całym świecie, że większość asymiluje drobne kolonie obconarodowe. Widzimy to i w Galicyi zachodniej, gdzie granica etnograficzna powoli, ale nieustannie, przesuwa się na wschód, wskutek cofania się żywiołu rusińskiego, stanowiącego tam mniejszość. Widzimy, że i niemieckie kolonie w Poznańskiem toną w morzu polskiem. Ale w Galicyi wschodniej giną stosunkowo dość znaczne zbiorowiska włościańskiej ludności polskiej, zdawna tam osiadłej. Tłomaczy się to głównie nieznacznem rozbudzeniem świadomości narodowej wśród kolonistów polskich, przybywających z Galicyi zachodniej. Dawniej, kiedy nikt o tym chłopie polskim nie myślał, kiedy nikt nie starał się o wzbudzenie w nim poczucia polskości, chłop ten, osiadając w Galicyi wschodniej, musiał szybko tracić swą narodowość. Z jednej strony wszystkie interesy życia codziennego zbliżały go z ludnością rusińską, z drugiej zaś przedstawicielami polskości w Galicyi wschodniej były żywioły dla tego chłopa mało sympatyczne: dziedzic i urzędnicy. Wobec tego włościanin polski rutynizował się i rutynizuje w dalszym ciągu. Jedyną radą na to byłoby podniesienie poziomu oświaty i świadomości narodowej wśród włościan polskich w rdzennie polskiej części kraju, ażeby, emigrując na wschód, chłop polski przybywał na Ruś już jako człowiek oświecony, świadomy swej narodowości i obowiązków narodowych. Wówczas nie wynarodowi się przynajmniej tam, gdzie będzie mieszkał w większych zbiorowiskach. Należy usunąć przyczyny zasadnicze szybkiej rutynizacyi chłopów polskich w Galicyi wschodniej — to znaczy dbać przedewszystkiem o oświatę ludu polskiego w Galicyi zachodniej.

Jednakże istnieje prąd całkiem przeciwny. Wyrazem tego prądu były uchwały walnego zgromadzenia Towarzystwa szkoły ludowej, odbytego 18—19 maja w Krakowie.

Dotychczas Towarzystwo to było organizacyą zupełnie bezpartyjną i pozbawioną wszelkich cech politycznych. Należeli do niej ludzie, którym braki szkolnictwa ludowego leżały na sercu, zarówno konserwatyści, jak socyaliści. Towarzystwo szkoły ludowej przyczyniło się dzielnie do powstawania nowych szkół, kierując się przytem jedynie potrzebami ludności polskiej, zakładając szkoły, w ten albo inny sposób przyczyniając się częściowo do powstawania szkół polskich w różnych częściach kraju. Wobec najpoważniejszego niebezpieczeństwa, jakie zagraża ludności polskiej na kresach zachodnich, wystawionych na parcie germanizacyi i czechizacyi, Towarzystwo doprowadziło do skutku założenie szkoły w Białej i krząta się około założenia jej w Ostrawie Morawskiej. O koloniach polskich w Galicyi wschodniej Towarzystwo nie zapomniało bynajmniej, czego dowodzi chociażby to, że większość szkół, założonych z jego własnych funduszów, przypada na Galicyę wschodnią.

Otóż ta dotychczasowa działalność Towarzystwa nie podobała się części członków w Galicyi wschodniej, którzy zapragnęli z organizacyi czysto kulturalnej przekształcić ją na instytucyę polityczną z głównem zadaniem zwalczania Rusinów. Panowie ci zjechali do Krakowa w większej liczbie i, występując zwartą ławą, przeprowadzili szereg uchwał, zmieniających dotychczasowy charakter działalności Towarzystwa, jakkolwiek z góry obmyślana kampania niezupełnie się udała. Mianowicie wniosek, zdążający do wytworzenia we Lwowie osobnego ciała Towarzystwa z władzą kontrolującą, doradczą i wykonawczą — wniosek, osłabiający zarząd główny, upadł. Natomiast uchwalono wnioski lwowskiego koła im. T. T. Jeża, żądające przeniesienia punktu ciężkości pracy Towarzystwa do Galicyi wschodniej. Większość, na czele której stali pp. Z. Balicki, J. Z. Popławski, dr. Ernest Adam i inni zwolennicy kierunku narodowego, traktowała przypadkową mniejszość tak namiętnie i niesprawiedliwie, że chwilami dochodziło do zajść bardzo niemiłych i gorszących. Brak wszelkiej tolerancyi i bezwzględność w postępowaniu, cechująca naszych narodowców, może się bardzo źle odbić na dalszych losach instytucyi, która dotychczas cieszyła się powszechną sympatyą wszystkich żywiołów demokratycznych, bez różnicy odcieni partyjnych.

Towarzystwo szkoły ludowej istnieje już okrągłe dziesięć lat, a sprawozdanie z działalności w roku ubiegłym zawiera dowody jego żywotności. Ogólny dochód wynosił 83,224 koron, rozchód zaś 80,715 kor. Stan szkół, założonych i utrzymywanych przez Towarzystwo (w ogólnej liczbie 14) jest ze wszech miar zadawalający. Uczęszcza do nich 1,767 dzieci. Rok sprawozdawczy przysporzył Towarzystwu dwie szkoły czynne: w Zwardoniu i w Rzeczpolu. Czytelni przybyło 34, liczba tomów we wszystkich czytelniach wzrosła o 5,209, a liczba czytelników o 28,732. Towarzystwo liczy obecnie blizko 8,000 członków. W r. 1901 przybyło 16 nowych kół, w czem dwa włościańskie i jedno robotnicze. Koła włościańskie zaczynają powstawać dopiero w ostatnich latach.

Wybór posła ze Lwowa, na miejsce powołanego na członka wydziału krajowego dr. Romanowicza, skończył się porażką ludowca, p. Stapińskiego, zasłużonego działacza włościańskiego, a zwycięztwem prof. Głąbińskiego, kandydata demokratów skoncentrowanych, demokratów z lewicy, stańczyków, żydów reakcyjnych z pod komendy

kahału, antysemitów, partyi katolicko-narodowej, demokratów narodowych z pod sztandaru p. Jastrzębca i świętojurców rusińskich. Zresztą zwycięztwo prof. Głąbińskiego wygląda zblizka niezbyt świetnie, choć został on energicznie poparty przez wszystkie bez wyjątku żywioły reakcyjne. Przedewszystkiem prof. Głąbiński zawdzięcza bardzo dużo głosów najzwyklejszym szwindlom wyborczym, następnie głosy urzędników padły na niego, dzięki naciskowi z góry. Jeśli doliczymy do tego mnóstwo głosów, zdobytych za pomocą brudnych oszczerstw, miotanych na ludność w organach, popierających prof. Głąbińskiego, to zrozumiemy, że zwolennicy p. Stapińskiego nie mają powodów do wielkiego smutku, choć dali swemu kandydatowi o 500 głosów mniej, niż miał kontrkandydat. W każdym razie fakt, że kandydat szczerze opozycyjny, walczący z całą zjednoczoną reakcyą, zdobył we Lwowie 2,230 głosów, pozwala spodziewać się zwycieztwa opozycyi już w najbliższej przyszłości.

Jakkolwiek prof. Głąbiński występował w charakterze kandydata „demokratycznego, to jednak nawet krakowska *Nowa Reforma*, organ umiarkowanie demokratyczny, ma kłopot z wyszukiwaniem pierwiastków demokratycznych w programie nowego posła. Charakteryzując jego mowę programową, dziennik krakowski pisze: „Opuścić tylko parowierszowy ustęp o jego wstąpieniu do t. zw. lewicy Koła — a na wszystkiem innem podpisać się może bez zastrzeżeń każdy ze stańczyków krakowskich. Przecież oni także są autonomistami, a taka nieokreślona dokładniej autonomia, jaką naszkicował prof. Głąbiński, poparta wzmocnionym systemem kuryalnym o czysto-stanowym systemie, oddałaby już lud i mieszczaństwo kraju na niepodzielny łup tej samej kategoryi, która kraj obecnie doprowadziła do ruiny... Więc prof. Głąbiński jest poprostu secesyonistą demokratycznym z politurą rządową; jest on konserwatywniejszy od wielu secesyonistów, bo nie oświadczył się nawet za bezpośrednim prawem głosowania we wszystkich kuryach.“

Zresztą prof. Głąbiński, rażący swymi poglądami demokratów krakowskich, wśród „demokratów“ lwowskich nie będzie stanowił jaskrawego wyjątku, bo oto ci ostatni, należący do grupy „demokratów“ skoncentrowanych, połączyli się z „demokratami“ secesyonistami, a wypadek ten stał się faktem dokonanym na mocy zrzeczenia się przez „skoncentrowanych“ wszystkich pierwiastków opozycyjnych. Z dyplomatycznego manifestu nowej partyi, która się przezwała „stronnictwem demokratycznem polskiem,“ wynika, jak słusznie rozumuje *Kuryer Lwowski*, że: 1) lwowscy zjednoczeńcy wbrew programowi koncentracyi nie uznają już potrzeby stałego współdziałania stronnictw postępowych przeciw klice konserwatywnej; 2) że raczej chcą współdziałać z kliką, wodzącą rej w komitecie centralnym dla rozbojów wyborczych i dają amnestyę Sokolowskim i innym „demokratom,“ którzy przyłożyli ręki do roboty tego komitetu; 3) że nie żądają już ani piątej kuryi przy wyborach do sejmu, ani powszechnego prawa wyborczego, a porzucenie tak zasadniczego postulatu stroją obłudnie w ogólne niby żądania „rozszerzonego prawa wyborczego“; 4) że tedy zjednoczenie lwowskie co do wszystkich spornych punktów ustąpiło wobec lewicy sejmowej.

*Daleko.*

# Listy z Francyi.

Paryż, 28 maja.

Sprawa Dreyfusa była bankructwem militaryzmu we Francyi, teraźniejsza zaś sprawa Crawford—Humbertów jest przedewszystkiem kompromitacyą sądownictwa. Już dziś siedzą w więzieniu notaryusze, adwokaci, a iluż ich będzie jeszcze okrytych niesławą w dalszym ciągu śledztwa!... Całą już niemal prasę tutejszą obiegł list słynnego ze swych wysoce humanitarnych wyroków sędziego, Magnaud, który dowodzi, że nietyle jednostki należy w danej sprawie oskarżać, ile samą strupieszałą instytucyę sądownictwa. A jeden ze znanych dziennikarzy, deputowany Maret, roztrząsając warunki, w jakich dokonane zostało to niebywałe oszustwo, dochodzi do wniosku, że kodeks służy często do tego, aby ułatwić szubrawcom oszukiwanie ludzi uczciwych.

Pomimo milionowych strat, wynikających z odkrycia kolosalnego bankructwa, pomimo narażenia się Francyi na nowe szyderstwa sąsiadów, ślepych na swe własne brudy, — lepsze żywioły nie trapią się tą sprawą, bo z jednej strony odsłoniła ona zgniliznę sfery sądowniczej, okrywającej się dotychczas nietykalnym płaszczem świętoszkowskiej moralności, a z drugiej ogół przekona się naocznie, na czem polegają wszelkie operacye w świecie finansowym.

Już to ostatnie wypadki we Francyi są nader pouczające i przyczynią się niewątpliwie do uświadomienia nawet mniej rozwiniętych. Ta zażarta kłótnia w łonie samych stronnictw, to obrzucanie się obelgami dawnych sojuszników, jak antysemity Drumonta z głośnym swego czasu Jul. Guérinem, który przed trzema laty zamknął się był, niby w twierdzy niezdobytej, w domu przy ul. Chabrol, czyż to nie ujawnia całej nicości i upadku antysemitów?

A ostatni przepełniony goryczą i żalem list honorowego prezesa ligi nacyonalistów „Patrie Française,“ starego poety, Fr. Coppée, który podaje się do dymisyi, gdyż otwartych jego przekonań religijnych właśni jego towarzysze i uczniowie boją się i unikają? A pozbawiona serca i szczerości odpowiedź Lemaitre'a i rzekome zerwanie nacyonalistów z klerykalizmem, dzięki któremu mogli oni szafować milionami i grać na uczuciach naiwnych — czyż to nie jest najlepszym dowodem przewrotności i obłudy, a zarazem słabości ich stronnictwa?

Im więcej niesmaku do takiej polityki nabierają uświadomieni pracownicy francuscy, z tym większym zapałem i poświęceniem zajmują się sprawami innemi. A objawy ich żywotności są niby barwne tęcze na przygnębiającem tle chmur ołowianych.

Piękny widok przedstawiał w ubiegłą niedzielę w gminie Saint-Eugène długi korowód umajonych zielenią i kwieciem skromnych wozów, przepełnionych rodzinami robotniczemi, a ciągnących wśród odgłosów muzyki i pieśni do doliny Petits-Châteaux na uroczystość otwarcia pierwszej kopalni robotniczej. Dzięki pomocy związków zawodowych, oraz ministeryum spraw wewnętrznych, które dało 11,000 fr., i ministeryum handlu, które ofiarowało 10,000 fr., garstka górników, wydalonych z kopalni po głośnych wypadkach w r. 1900, mogła zakupić potrzebne narzędzia i zacząć wspólnemi siłami i ku wspólnemu pożytkowi eksploatacyę małej kopalni, porzuconej przez właściciela jeszcze w r. 1860. Po opłaceniu wszystkich kosztów zostało obecnie w kasie 9,300 fr.; płaca dzienna ma wynosić 5 fr., z których ²/₅ będą odkładane do kasy, a z pozostałej reszty górnicy wydawać mają na utrzymanie osobiste tylko po 1 fr. 10 c., gdyż żyć zamierzają na sposób falansteru, a resztę będą mogli posyłać rodzinom swym, zamieszkałym w pobliżu, przeważnie w Monceau.

I uroczysty wjazd do kopalni, i zwiedzenie jej, i skromna uczta na 350 osób, i przemówienia uczestników — miały w sobie coś tak podniosłego, tyle idealizmu, tyle poezyi, że nawet przedstawiciel ministra handlu był do głębi wzruszony i zapewniał, że chwila ta pozostanie mu na zawsze drogą i niezapomnianą.

W ostatnich dniach, w chwili wrzącej walki o wybór nowego prezesa Izby i nowego ministeryum, odbyły się także w wielkim spokoju i we wzorowym porządku: 1) kongres pracowników w różnych gałęziach spożywczych (piekarzy, rzeźników, cukierników itp.), na którym uchwalono utworzenie z tych wszystkich pokrewnych sobie fachów jednego wielkiego związku p. n. „Fédération nationale ouvriere de l'Alimentation de France et des Colonies“; 2) kongres urzędników pocztowych, telegraficznych i telefonicznych, którzy postanowili domagać się jednego dnia w tygodniu wypoczynku, obniżenia wieku do emerytury dla mężczyzn do 55 lat, a dla kobiet do 50, większego stosowania hygieny w wagonach i biurach pocztowych itp. 3) wiec służby przewozowej departamentu Sekwany (woźniców i konduktorów tramwajowych, urzędników podziemnej kolei Métropolitain, służby statków parowych, kursujących po Sekwanie), który odbył się w nocy z 25 na 26 maja z udziałem 6,000 pracowników i wydał szereg postanowień, mających na celu dobro uczestników.

Z ważniejszych wypadków ostatniego miesiąca — po gorączkowych dniach wyborów — zasługują na uwagę i dwa obchody, poświęcone wspomnieniom przeszłości, a mianowicie odsłonięcie pomnika twórcy pozytywizmu, Aug. Comte'a i obchód setnej rocznicy internatu szpitalnego. Bez szumnych zapowiedzi, bez udziału wielkich tłumów, uczczono w d. 18 maja pamięć Comte'a; zarówno odsłonięcie pomnika, rano, na placu Sorbony, jak uroczystość popołudniowa, na którą złożyło się przemówienie Sully - Proudhomme'a i przedstawienie dramatu, umyślnie napisanego przez młodego poetę-pozytywistę J. Conor'a, jak wreszcie uczta wieczorowa, robiły wrażenie poważniejsze, niż obchód, urządzony przed trzema miesiącami na cześć Wiktora Hugo; może dlatego, że w uroczystości na cześć Comte'a nie śmieli brać udziału nacyonaliści.

Pomnik marmurowy, dłuta rzeźbiarza Injalbert'a, wyraża również myśl głębszą, niż posąg wzniesiony Wiktorowi Hugo. Z jednej strony biustu Comte'a przedstawiona jest alegorycznie Ludzkość w postaci kobiety z dziecięciem na ręku, podającej palmę wielkiemu myślicielowi, a z drugiej — młody robotnik siedzi zadumany na kowadle z młotem u nóg. Wyryty napis brzmi: „Żyć dla innych. Ład i postęp. Rodzina—ojczyzna—ludzkość.“

W obchodzie tym brali udział nietylko Francuzi, ale i cudzoziemcy, przybyli ze wszystkich stron, jak Hector Denis i Vanderwelde z Brukselli, Harrison z Londynu, Molenaar z Berlina, prof. Johannsen z Chrystyanii, Lombroso z Włoch, dr. Laskowski z Genewy, dr. Kozłowski z Krakowa itd. Obok profesorów niemieckich i doktorów filozofii byli i delegaci robotników, jak Baumé, sekretarz Związku syndykatów departamentu Sekwany, i Kenfer— od Związku pracowników drukarskich i introligatorskich.

Zarówno przy odsłonięciu pomnika, jak i na uczcie wieczorowej przewodniczył, ku zdziwieniu wielu, minister wojny, generał André. Trzeba jednak przyznać, że mowa jego zasługiwała ze wszech miar na szerszy poklask, jakim ją niejednokrotnie

przerywano; w zakończeniu wyraził myśl swą w następujący sposób: „Pochód cywilizacyi nie ulega rozkazom, można jednak przyspieszać go lub opóźniać. Kto usiłuje przywrócić dawne formy, ten ją opóźnia. Ci tylko przyczyniają się do szybszego postępu, którzy idą wytrwale po ścieżkach prawdziwej wiedzy, zwalczając wpływ idei wstecznych lub metafizycznych...“

W tydzień niespełna po uroczystościach na cześć Comte'a, obchodzono setną rocznicę internatu lekarskiego, instytucyi wyłącznie francuskiej. Każdy tutejszy lekarz szpitalny, każdy profesor wydziału lekarskiego musi przejść cztery lata internatu, tj. spędzać w szpitalu dzień i noc. O ile egzamin konkursowy na eksterna jest bardzo łatwy, o tyle konkurs na interna trudny i surowy, a lata, spędzane w internacie, są znakomitą szkołą praktyczną nietylko medycyny, chirurgii i położnictwa, ale i solidarności koleżeńskiej oraz bezinteresownego służenia cierpiącym. Niemało też internów pada ofiarą obowiązku, jedni po krótkiej chorobie, zarażeni dyfterytem, cholerą, ospą, tyfusem, drudzy — po długich cierpieniach, spowodowanych gruźlicą.

Słusznem więc było uczcić pamięć tych cichych pracowników, jak również przy wspólnym obchodzie, a nawet koleżeńskiej biesiadzie, rozbudzić dawne wspomnienia, wzmocnić węzły solidarności zawodowej. Na nieszczęście jednak uroczystości te wypadły banalnie, nie przekraczając miary zwykłych obchodów oficyalnych. W pierwszym dniu w ogromnej sali Trocadero, przy nader licznym udziale strojnych pań i panów, z prezesem ministrów Waldeckiem-Rousseau na czele, w przerwach orkiestry gwardyi republikańskiej, przemawiali dziekani szkoły lekarskiej dawny Brouardel i teraźniejszy Debove, prezes dobroczynności publicznej Mourier, sławiąc nietyle zmarłych, ile żyjących internów; uczta wieczorowa sprowadziła około 700 osób. Następnego dnia odsłonięto na podwórzu szpitala Hôtel-Dieu skromny pomnik na cześć zmarłych ofiar obowiązku; znać, że wzniesiony z drobnych składek, w których nie wzięli udziału potentaci świata lekarskiego, biorący po 100 fr. za wizytę, a tysiące za operacyę.

W tym też dniu — dla przypodobania się zapewne nacyonalistycznej radzie miejskiej — odbyło się w kościele Notre-Dame solenne nabożeństwo żałobne za zmarłych internów; jużto wielcy lekarze francuscy — podobnie jak nasze powagi przyrodniczo-lekarskie na zjeździe w Krakowie — nie chcą być nigdy w ogonie reakcyi.

Największym zapałem odznaczało się i największy wzbudzało entuzyazm przemówienie dr. Ziembickiego ze Lwowa, dawnego interna paryskiego. Podniósł on gościnność Francyi względem cudzoziemców, przeciwstawił jej państwo z za Renu, usiłujące narzucać obcy język i cywilizacyę dzieciom wrzesińskim — rózgą, a ich matkom — więzieniem!

*Dr. J. Zieliński.*




## Ostatni argument.

Spotykamy się z nim coraz częściej. Rzekłbym niemal: żyjemy w epoce ostatnich argumentów.

Cóż to jest? Ostatnia kula, padająca z ginącego szańca. Śpiew łabędzia, który kona. Gra w chowanego z własną logiką.

Dawniej pan miał prawo nosić żupan, a chłop miał obowiązek nosić sukmanę. Przebierającemu się dziś chłopu w europejską „manufakturę“ niepodobna powiedzieć: słuchaj, Bartek, nie dla psa kiełbasa. Poczyna się tedy mówić o stroju narodowym. I w tej dziedzinie jest to ostatni argument.

U pewnego niedowiarka, który zawarł związki małżeńskie z damą o bardzo stałych przekonaniach, podano w piątek rybę. Szkolny jego kolega, który się na tym obiedzie przypadkowo znalazł, rzekł do pana domu: „Jacek, ty pościsz?“ Pan domu spuścił oczy i odparł: „Wiesz, robię to dla tradycyi.“ I w tej dziedzinie jest to znowu ostatni argument.

Bardzo wolnomyślna dama oburzała się na pewną książkę. Zapytano ją tedy: „Co panią w tej książce gorszy? Nie jest-że rozumną, głęboką, świetnie napisaną?“ „Prawda,“ odrzekła dama. Tedy pytano dalej: „A może ta książka obraża przekonania pani?“ Dama odparła: „Bynajmniej, podzielam w zupełności zdanie autora.“ — „Więc cóż ma pani przeciw niej?“ — Wie pan, jest ona... nie na czasie!

Mamy tu znowu taki typowy ostatni argument.

To „nie na czasie“ daje się słyszeć coraz częściej. Teorya Kopernika była nie na czasie, teorya Darwina nie na czasie, europeizowanie się chłopa jest nie na czasie, życie wedle swoich przekonań jest nie na czasie, napisanie szczerej książki nie na czasie. Więc kiedyż będzie na czasie? pytamy. Odpowiadają nam: „To się zrobi samo, przyjdzie samo...“ Znowu taki — ostatni argument!

Takie ostatnie argumenty układają sobie ludzie w kostkę i jeżdżą po nich, jak po bruku. „To“ przyjdzie, wiedzą o tem doskonale; tylko niech nikt od nich nie żąda, aby byli pionierami, aby się wybierali z wieńcami na powitanie, aby „potrząsali nowości kwiatem.“

To się zrobi „samo.“ Innemi słowy można tę myśl wyrazić tak:

— Bohaterze! Wiem, że głosisz rzecz dobrą, ale ja żyję teraz, a nie za lat pięćdziesiąt. Wtedy stawiałbym ci pomnik, teraz muszę się na ciebie oburzać. Nakazuje mi to poczucie osobistej wygody.

Ale myśl tę możnaby także oblec w zdanie następujące:

— Nowinkarzu! Głupi jestem wobec ciebie, a ty głosisz prawdopodobnie rzecz mądrą. Ale nie żądaj ode mnie, abym się bodaj trzy minuty nad tem zastanawiał, bo się to sprzeciwia moim przyzwyczajeniom, mojej ociężałości i mojemu spokojowi.

I można myśl tę wyrazić jeszcze w sposób taki:

— Człowieku przyszłości! Wiem, że świat nie może być takim, jakim był. Wiem, że pewien typ życia umiera, a drugi się rodzi. Wiem, że nie wszystko, co nowe, jest złe, a nie wszystko, co stare jest dobre. Ale ja będę bronił starego do ostatniego tchnienia; bo jest stare; będę również tępił nowe; za to, że jest nowe.

Ale to wszystko jest jeszcze przez pół teorya. A jak wygląda praktyka?

Pan Kazimierz uprawiał „zagon ojców,“ czcił tradycye i prenumerował pisma konserwatywne. W domu był naturalnie zawsze sobą. Podczas karnawału w Warszawie, skoro się musiał zetknąć z „różnymi“ ludźmi, bywał nieraz jak paczulą nakropiony ostatnimi argumentami. Nagle to równe, to niezamącone życie poczęło się psuć. Wreszcie zawołano: „po raz pierwszy, drugi, trzeci“ — i pan Kazimierz znalazł się w Warszawie nie na tajfokloku, ale, jak to powiadają na bruku. Wtedy poczyna w kawiarenkach przeglądać cichaczem pisma postępowe; nagle słabnie w nim niesłychanie cześć dla różnych tradycyj, odrzuca maskę „ostatnich argumentów,“ wreszcie zaczyna krzyczeć: „Ludzie, złe jest na świecie, zmian, reform!“

Otóż wykolejenie jest na różnych takich panów jedynym argumentem, który podważy ich przekonia. Dało to bystrym padaczom sposobność do wygłoszenia swego czasu hasła ekonomicznego: „Im gorzej, tem lepiej.“ Pieniądz jest złotym tronem bardzo wielu przekonań. Gdy braknie tego tronu, odprawia się przekonania, jak sługi. Owe ostatnie argumenty są zawsze wskazówką, że złoty tron przekonań poczyna się chwiać, że jakaś jego noga przegniła i że się ją na gwałt naprawia.

W naszym gaju warszawskim różne kółka i kółeczka słowiczymi głosy wyśpiewują ostatnie argumenty. Warszawa już wie niejedno, ale, jak podstarzała guwernantka, rozumiejąca swoje zadanie, które polega na tem, aby „swoje zachować dla siebie, a ściśle trzymać się programu,“ kryguje się wobec prowincyi i sypie jak z rękawa ostatnimi argumentami. Kierownicy wielu pism podejmują się nawet dostawy ostatnich argumentów dla swoich czytelników. Cały typ naszego pożycia towarzyskiego opiera się na tych „ostatnich argumentach...“

Gdzieindziej pionier jest zwany szaleńcem, zuchwalcem, śmiałkiem. U nas — rzadko bluźniercą religijnym, narodowym, społecznym; zwykle — człowiekiem nieprzyzwoitym...

U nas myśleć śmiało — poprostu nie wypada. Ale jest to też bardzo znamienna wskazówką słabości danego typu ludzi. Pierwsza lepsza zmiana stosunków, pierwszy wiatr, który zawieje, zmiecie ich, a owe „ostatnie argumenty,“ stanowiące ich filozofię, jeżeli nie zginą doszczętnie, to tylko dlatego, że tu i owdzie zostaną uwiecznione przez humorystów...

*Andrzej Niemojewski.*

# PAMIĘTNIK.

### Dzikie widowisko.

Zaledwie odegrano ponurą uwerturę nowej pruskiej opery politycznej p. t. „250 milionów marek dla niemieckiego Fausta, czyli polski Mefisto,“ rozpoczęły się w komisyi, dokąd projekt odesłano, śpiewy solowe. We wszystkich brzmi *Brustton*, dobywany z zamiarem wywołania strasznej zgrozy, która w bezstronnych słuchaczach zamienia się na huczny śmiech. My, łagodne baranki niemieckie — grzmi p. Rheinbaber — nie myślimy wyrwać nawet jednego włosa z szerści polskiego wilka; my chcemy tylko zbudować sobie bezpieczną owczarnię. Walczymy ciężko o nasz byt (*wir ringen schwer um unsere Existenz*), zagrożony przez nienawistną nam potęgę. Konserwatyści i narodowo-liberały krzyczą brawo, a centrum, postępowcy, a zwłaszcza demokraci pokładają się od śmiechu. Na oddalonych galeryach tego jedynego w swoim rodzaju widowiska siedzą fabrykanci niemieccy i płaczą. Niektórzy z nich wołają: dosyć tych aryj albo przynajmniej nie śpiewajcie tak głośno! Między nimi znajduje się może najbardziej zafrasowany przedstawiciel znanej bawarskiej fabryki ołówków, L. Faber. Nieszczęśliwiec ten, który podobno najbardziej odczuł skutki „obrony“ jagniąt pruskich na kresach wschodnich, przesłał do swych warszawskich klientów, a następnie do gazet rozpaczliwy list, powtórzony nawet w *Torg. Promyszl. Gaz.*, organie rosyjskiego ministeryum skarbu, gdzie go przytoczono jako dowód możliwości wyemancypowania się od Niemców w tej gałęzi przemysłu. Cóż ja winien — pisze ze łzami p. Faber — tej polskiej hecy? Jestem Bawarem, moja ojczyzna nie przyjmuje żadnego udziału w prześladowaniu Polaków

i nie może go powstrzymać. Więc, zacni panowie, bądźcie sprawiedliwi, nie wyrządzajcie mi krzywdy i kupujcie moje ołówki. Bodaj ich z tą awanturą wrzesińską i komisyą kolonizacyjną!..

Niestety, chociaż góra, usypana przez nas ze słów i zachęt do walki handlowej z Niemcami urodziła mysz, ta mysz będzie dla p. Fabera wściekłym słoniem, a p. S. Majewski we wdzięcznym darze ofiaruje jej złoty ołówek.

Dodać trzeba, że przedstawicielowi firmy jej hakatystyczni akcyonaryusze sprawili publiczną łaźnię za to, że śmiał tak się upokorzyć przed odbiorcami warszawskimi.

Gdyby cała ta farsa nie była ohydną, jakże byłaby ucieszną!

### Nieobecni.

Wiadomo, że w liczbie tych dobrych chęci, któremi, według przysłowia, piekło jest wybrukowane, a które zaczęto u nas wydobywać pod hasłem „wyzwolenia się z zależności od Niemców," powstał projekt założenia zbiorowo fabryki maszyn i narzędzi rolniczych. Ogłoszono wreszcie spis osób, które przyjęły udział w tem przedsiewzięciu. Lista króciutka i złożona z samych mierzynów kapitału. Ani jednego swojskiego Morgana lub Goulda, ani jednego z tych szczodrych panów, co to umieją polować w Indyach i Sudanie kosztem setek tysięcy rubli lub przegrywać miliony w karty, którzy dla podniesienia hodowli w kraju utrzymują jaskinię hazardu na placu wyścigowym. Życzymy orędownikowi zamierzonej fabryki, p. H. Kotłubajowi, powodzenia, zdaje nam się jednakże, że on do jej wykonania przystąpił bez pamięci o psychicznych właściwościach naszego społeczeństwa w tych pokładach, w których znajdują się żyły złote. Niech ogłosi wyprawę myśliwską do Abisynii dla zabicia dzikiego barana, którego zastrzelił tylko jeden lord angielski — znajdzie olbrzymie sumy. Ale fabryka narzędzi rolniczych w kraju rolniczym — to nic warte kopyt zdechłego dwulatka po nieśmiertelnej klaczy, który zdobył w wyścigu 327 rubli.

### Dobry początek.

Skoro na pomnik Chopina zebrano dopiero tysiąc rubli, więc mamy dużo czasu na kłótnię o miejsce, gdzie on winien stanąć. Im dłużej zaś spór ten potrwa, tem lepiej, bo sprawa nie przestanie być „aktualną" i nie utonie w morzu filozofii operowo-koncertowych „zespołów." Pożądanem jest nawet, ażeby jak najwięcej podawano projektów niedorzecznych i wygłaszano krytyk bezzasadnych, bo w ten sposób wrzawa nieprędko ucichnie. Dobry przykład i bodajby szczęśliwy początek dał p. M. G. w *Kuryerze Warszawskim*. Miasto zaofiarowało komitetowi dwa place: Warecki i skrawek ogrodu Saskiego przy wejściu od ul. Marszałkowskiej. Pierwszy nie podoba się panu G. dlatego, że chcąc tu pomnik obejrzeć, trzeba będzie „skręcać z Nowego Światu lub Marszałkowskiej." Ponieważ plac Warecki jest już dziś bardzo ruchliwy, a gdy drogo sprzedany obszar po szpitalu Dzieciątka Jezus zabudowany zostanie domami i gmachami odpowiednimi kosztowi miejsca, ta dzielnica będzie bardzo okazałą, przeto „skręcanie" się zmniejszy. Bieda tylko, że trudno ustalić jakikolwiek związek między Chopinem a znajdującą się na tym placu... pocztą. Jest to zaś wzgląd bardzo ważny. Bo gdy ktoś radził postawić pomnik na placu Teatralnym, p. M. G. zaprotestował przeciw temu z „pewnych konsekwencyj logicznych," mianowicie, że Chopin nie ma nic „wspólnego z teatrem i operą." Niewątpliwie, więcej „wspólnego" ma Mickiewicz z Karmelitami, łaźniami Fajansa, Resursą Obywatelską i owocarnią Wróbla, jednakże jakąś łączność genialnego kompozytora z operą odnaleźć by można, zwłaszcza gdy w jednym z nią gmachu mieści się Towarzystwo muzyczne i sala koncertowa. Pan M. G. tedy przemawia za ogrodem Saskim, który dałby pomnikowi piękne tło z drzew bez wielkiej ofiary, gdyż rzadkie okazy wielkich drzew „możnaby przesadzić." Pomijamy łatwość takiego „przesadzania," o którem opierający się temu projektowi komitet plantacyjny ma mniej optymistyczne wyobrażenie. Zwrócimy tylko uwagę, że tu nie chodzi o „kilkadziesiąt łokci trawnika i kilka drzew," lecz o cały ogród Saski, bo gdy do niego wejdzie jeden pomnik, nie można zaręczyć, że po nim nie wkroczą inne i nie wiadomo jeszcze, na czem by się ten pochód skończył.

W żadnem mieście europejskiem nie zachowywano ścisłego związku między pomnikami a ich otoczeniem, a gdy nie było placów specyalnych, brano wolne i bynajmniej niezawsze przy głównych arteryach ruchu. Nie chciejmy więc być mądrzejszymi od mądrych i tanim sentymentalizmem nie wytwarzajmy sobie dobrowolnie szkód dotkliwych. A jeżeli ktoś tam, widząc zdala pomnik Chopina na placu Wareckim, pomyśli, że to poczmajster, a na Teatralnym, że to aktor — mały smutek.

### Świetny pomysł.

Czytamy w pismach codziennych: „Na bardzo dobrą myśl wpadł komitet Towarzystwa sztuk pięknych, ażeby w odstępach krótkich, zaledwie kilkotygodniowych, całą wystawę, lub też znaczną jej część, odnawiać zupełnie nowemi dziełami..."

Mógłby komitet wydelegować kogoś sprytniejszego do redagowania mu takich reklamowych wzmianek! To zawołanie przez cały komitet: *Eureka!* jest wspaniałe. A o czemże to szanowny komitet dotąd myślał? Ma być zmiana? Jaka? Komitet prawdopodobnie tylko o tyle często może zmieniać obrazy, o ile nowe napływają. Stąd trzeba wywnioskować: 1) albo artyści nasi nagle zaczęli daleko więcej i prędzej malować; 2) albo taka wielka produkcya już dawniej istniała, ale nie wystawiano jej przez zwykłe niedbalstwo lub w celu umożliwienia protegowanym wystawienia obrazów przez czas jak najdłuższy; 3) albo dla szybkiego powiększenia napływu postanowiono obniżyć i tak już niewysoki cenzus i przyjmować wszelką lichotę, robiąc tem skuteczną konkurencyę sklepom z materyałami piśmiennymi; 4) albo... i to jest prawdopodobniejsze, to ogłaszanie światu o wpadaniu na bardzo dobrą myśl jest zwyczajnem bredzeniem nieudolnego reportera, któremu komitet powinien co prędzej podziękować za takie reklamy i unikać nadal podobnego ośmieszania się.

A czy szanowny komitet, wpadając na tę myśl kapitalną, pomyślał również o prawach i interesach artystów, którzy nie na to pracują przez całe miesiące, aby ich obrazy wyrzucano, zanim ogół będzie miał czas je zobaczyć? Czy komitet pomyślał, że taka zapowiedź prędkiego usuwania skieruje najlepsze siły na inne wystawy, gdzie artystom nic grożą takie genialne „wpadania" na pomysły?

Muzea są otwarte przez dziesiątki lat i ciągle z temi samemi dziełami, gdyż są one pierwszorzędnej wartości i *dlatego* zawsze przyciągają tłumy, spragnione wrażeń estetycznych. Niech więc Tow. Szt. Pięknych nie zamienia się w budę jarmaczną pod wpływem wpadań na takie dobre myśli komitetu. Jeśli zaś potrafi zapełnić swe sale tylko dziełami niezaprzeczenie dobremi, to zanim nasz ogół przyjrzy się im dostatecznie, zejdzie nie „zaledwie kilka tygodni," ale dobre dwa miesiące.

Radzi będziemy przekonać się, że źródło tych wpadań na kapitalne pomysły tryska z głowy reportera, a nie komitetu.

W każdym razie, sz. panowie, redagujcie lepiej swe reklamy! *k.*

### Z powodu konkursu.

Rozstrzygnięty przed tygodniem konkurs *Gazety Świątecznej* na powiastkę dla ludu nasuwa kilka uwag i myśli wcale niepocieszających. A więc uderza przedewszystkiem względnie małe interesowanie się ogółu sprawą oświaty i czytelnictwa ludowego. Ogłoszono konkurs dużej doniosłości społecznej, wyznaczono nagrodę wcale pokaźną — i prócz czytelników *Gazety Świątecznej* nikt prawie o tem nie wiedział, gdyż nasze *Kuryerki*, które w swoich śmietnikach, zwanych przeglądami prasy, podają skwapliwie wszelkie wybryki swady orgaiścińskiej przeciw „wywrotowcom" i „feministkom," zachowały tym razem głębokie milczenie. W ten sam sposób, nawiasem mówiąc, spełzł niedawno na niczem konkurs *Przeglądu Pedagogicznego*, na który nadesłano... jedno dzieło, i to niedołężne.

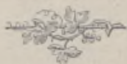
Czas by już był najwyższy znieść owe odwieczne słupy graniczne między czytelnikiem *Kuryera Porannego* a czytelnikiem *Zorzy*. Literatura i dziennikarstwo dla ludu stanowią dotąd pewnego rodzaju państwo w państwie: mają „swoich ludzi" i wśród piszących i wśród czytających. A gdyby tak miedze rozkopać?.. „My," czytelnicy *Kuryerów*, zachowujemy się względem „nich," odbiorców pism ludowych, z poczuciem pewnej dumy i wyższości. I to fałszywe założenie odbija się często w wypowiadanych zapatrywaniach na cel i charakter literatury popularnej. Nam się zdaje ciągle, że chłop to taka sobie „goła tablica," na której napiszesz, co zechcesz: „nie kradnij! pracuj! wódki nie pij!" I nie obejdzie się żadna „powiastka" bez mdławego a „długiego" sosu, t. zw. tendencyi moralnej, i starannego otrzepywania najdrobniejszych pyłków „nieobyczajności."

Dobre to było za czasów pańszczyzny, kiedy „dziedzic" w ideologii obrońców istniejącego porządku poczuwał się jakoby do ojcostwa duchowego nad „gromadą." Ale teraz, gdy zerwały się nici pozornego protektoratu „dworku" nad „chatą," gdy chłop stał się samodzielnym obywatelem kraju i zwolna drogą parcelacyi rozkupuje dobra niegdyś „pańskie," czasby już był zerwać z tą obłudą! Nie idzie za tem, aby literatura ludowa była całkiem pozbawiona tendencyi; ale niech ten „sens moralny" nie sterczy na wszystkie strony, jak kolce jeża z worka, niech nie zmusza czytelnika do cierpliwego łykania wody ocukrzonej zamiast zdrowego i posilnego pokarmu. Nędza i ciemnota, brak zarobku w miejscu, obieżysastwo, emigracya a tu głos monotonny powtarza niezmordowanie: nie zabijaj! nie cudzołóż! nie kradnij!

Należy obrać inną drogę. Ale jaką?

Olbrzymie powodzenie, jakiego doznały wśród ludu powieści Sienkiewicza, nieobliczony jeszcze wpływ, jaki wywarły, wskazują jasno tę drogę. Zapomnijmy raz o mniemanem „niemowlęctwie duchowem" czytelnika wiejskiego; to nie dziecko, to człowiek, to już obywatel dojrzały i uświadomiony, którego równie dobrze, jak każdego z nas, znudzą ciągłe frazesy umoralniające. Spłowiały szablon „kochanego kmiotka" musi ustąpić potrzebom i wymaganiom doby bieżącej. A ci, co na wszelki objaw chęci wyklucia się z tej zaśniedziałej skorupy wołają: „gwałtu! podpalacz! matkobójca!", zostaną zawstydzeni: fala przepłynie, a oni zostaną na brzegu.

*H. G.*



## BADANIA NAUKOWE.

### WULKANY ANTYLSKIE.

(Dokończenie).

Zwrócimy z kolei uwagę na przyczyny wybuchów wulkanicznych. Dziwne i groźne zjawisko dobywania się z łona ziemi ognia i skał stopionych, dymu i pary—narzucało oddawna umysłowi ludzkiemu dążenie do zbadania czynników, wywołujących te wybuchy. Mitologia nazywała Etnę siedliskiem Wulkana, który wraz z cyklopami kował pioruny w łonie góry.

Późniejsi badacze, znając tylko Europę i kraje poblizkie, gdzie zjawiska wulkaniczne nie mają obecnie zbyt wielkiego znaczenia, uważali je za zdarzenia czysto miejscowe, spowodowane pożarami pokładów siarki, węgla, nafty, lub innemi zmianami chemicznemi.

Lecz w miarę poznawania krajów odległych, gdzie liczne wulkany posiadają znaczenie doniosłe, przekonano się, że zjawisk tych nie mogły wywołać przyczyny lokalne; zauważono, że wulkanizm jest objawem ogólnym, że powodują go jakieś siły wewnętrzne ziemi, działające powszechnie, a uzewnętrzniające się tylko w pewnych okolicach. Poznać owe siły moglibyśmy tylko wówczas, gdyby zostały szczegółowo wyjaśnione skład i budowa wnętrza kuli ziemskiej. Tymczasem są one dla bezpośredniej obserwacyi niedostępne. Badamy wyłącznie powierzchowne warstwy skorupy ziemskiej, a najgłębszy otwór świdrowy, największa głębia, do jakiej dotarł—już nie człowiek, lecz jego narzędzia, wynosi zaledwie 2003 m. (w Paruszowicach na górnym Śląsku), śmiesznie mało, wobec olbrzymich wymiarów kuli ziemskiej.

Tak tedy jedyne podstawy do sądzenia o składzie wnętrza ziemi czerpiemy z objawów jej sił wewnętrznych, a objawy te wyjaśniamy za pomocą hypotez, mniej lub bardziej prawdopodobnych, dotyczących stanu wnętrza ziemi. Koło błędne, z którego wyjścia niepodobna dotychczas przewidzieć.

Hypotezy, dotyczące składu wewnętrznych części kuli ziemskiej, opierają się głównie na następujących podstawach: przedewszystkiem temperatura skorupy ziemskiej wzrasta wraz z głębokością; powtóre, źródła gorące i gejzery już z niewielkich głębokości czerpią wodę o wysokiej temperaturze (Gejzery islandzkie, na 32 m. głębokie, wyrzucają wodę o temperaturze 125°); wreszcie wulkany wyrzucają stop skał, lawę, a skały wulkaniczne pod zwykłem ciśnieniem topią się przy temperaturach od 900 do 1700.°

Wszystkie zjawiska powyższe zdają się wykazywać, że w głębi ziemi panuje wysoka temperatura, zdolna stapiać skały, a więc dochodząca do 1700°. Na tej podstawie oparto przypuszczenie, że wnętrze ziemi składa się z roztopionych skał, zwanych magmą.

Wyprowadzona z licznych obserwacyi średnia wartość stopnia geotermicznego, tj. głębokości, na której temperatura warstw skorupy ziemskiej wzrasta o jeden stopień Celsiusza, wynosi około 30 m. Gdybyśmy przeto mogli uważać ten przyrost temperatury za stały, pirosfera, czyli część wnętrza ziemi, złożona z magmy, winna by się zaczynać już na 50 km. głębokości, tyle zaś zaledwie wynosiłaby grubość stałej skorupy ziemi, litosfery, a więc tylko $\frac{1}{125}$ promienia globu ziemskiego.

Jednakże istnieją bardzo poważne względy, przemawiające na korzyść większej grubości stałej skorupy kuli ziemskiej. Gazy i pary skraplają się, przechodzą w stan ciekły pod wpływem wysokiego ciśnienia, topienie się zaś ciał stałych zostaje utrudnione przez ciśnienie; wielu przeto badaczów przypusza, że wnętrze ziemi jest stałe, a tylko na względnie nieznacznej głębokości, gdzie panuje mniejsze ciśnienie, mogą istnieć stopione masy magmatyczne.

Na podstawie zakłóceń w prawidłowości ruchów ziemi, znanych pod nazwą nutacyi (wahanie się osi obrotowej ziemi) i precesyi, (ruch punktów porównania dnia z nocą) astronom angielski Hopkins wywnioskował, że grubość stałej skorupy ziemskiej wynosi minimalnie 1300—1600 km., a Wiliam Thomson (lord Kelvin) obliczył, że ziemia zachowuje się, jak kula, tak sztywna i sprężysta, jak stal. Obliczenia powyższe nie znalazły jednak powszechnego uznania; Schiaparelli i O. Fischer zwalczają wywody Hopkinsa i Thomsona, Delaunay zaś jeszcze w roku 1868 zwracał uwagę na to, że ruchy nutacyi i precesyi odbywają się nader powolnie w stosunku do ruchów zasadniczych ziemi, tak, że nawet ciekłe masy wewnętrzne mogłyby nadążyć za drobnemi zakłóceniami prawidłowego ruchu, działającemi na stałą skorupę ziemi. Przypuszcza on, że nawet ciekła wewnątrz ziemia zachowywałaby się względem owych powolnych i słabych ruchów, jak ciało stałe, tem bardziej że łatwopłynne wnętrze nie może bezpośrednio stykać się ze stałą skorupą, lecz oddzielone być musi warstwami o różnych stanach pośrednich między stałym a ciekłym. Należy tu także przypomnieć doświadczenia Siemensa ze stopami szkła; wykazały one, że ciśnienie ułatwia przejście ze stanu łatwopłynnego w trudnopłynny, ciastowaty.

Zwracano również uwagę na zjawiska przypływu i odpływu, które przyciąganie słońca i księżyca musiałoby wywoływać w ciekłem wnętrzu ziemi. I tu zdania są podzielone. Brak objawów, stwierdzających istnienie podobnych przypływów i odpływów magmy, które w ruchach kuli ziemskiej odbić by się musiały, służył jednym badaczom za dowód stałości całego naszego globu, inni zaś objaśniali go istnieniem owego przejściowego, ciastowatego pasa.

Poglądy powyższe zależą bezpośrednio od przypuszczeń co do sposobu ostygania ziemi; jedni badacze wraz z Kelvinem sądzą, że w miarę ostygania kuli ziemskiej, utworzone na jej powierzchni skrzepy, jako cięższe od otaczającej masy, spadały wgłąb, spotykały tam wyższe temperatury i topiły się, odbierając ciepło od warstw głębokich; na powierzchni zaś tworzyły się nowe skorupy, które ulegały temu samemu losowi. Skutkiem owego ciągłego opadania tych zimnych części warstw powierzchownych było znaczniejsze ochładzanie się wnętrza globu, który też zastygł od środka w jednolitą stałą kulę.

Inni uczeni opierają się na doświadczeniach i dowodzą, że większość kruszców i krzemiany, z których składa się dostępna część skorupy ziemskiej, rozszerza się przy przejściu ze stanu ciekłego w stały, że więc pływały one po powierzchni roztopionego globu, który zastygł przedewszystkiem na powierzchni, otaczając swe roztopione wnętrze skorupą stałą.

W ostatnich wreszcie dziesiątkach lat ubiegłego stulecia zrodziła się nowa hypoteza, dotycząca składu wnętrza ziemi, najlepiej chyba uzasadniona i najlepiej uwzględniająca ostatnie zdobycze fizyki. We wnętrzu ziemi musi panować nadzwyczaj wysoka temperatura, do 100000°, jak obliczał Ritter i olbrzymie ciśnienie, podawane na trzy miliony atmosfer. Otóż Zoppritz, a za nim Günther wyobrażają sobie wnętrze ziemi, jako wypełnione gazem, gdyż przy tak wysokiej temperaturze wszystkie ciała winny by przekroczyć ową temperaturę krytyczną, powyżej której dane ciało może istnieć tylko w postaci gazu, niezależnie od wysokości ciśnienia. Gazy, wypełniające wnętrze ziemi, pozostają w takim właśnie stanie, posiadają bowiem temperaturę wyższą od krytycznej; wobec olbrzymiego jednak ciśnienia są one tak zgęszczone, że zachowują się, jak ciała sztywne. Pomiędzy owem wnętrzem gazowem a stałą skorupą ziemi, ciągną się warstwy, odpowiadające wszelkim stadyom przejściowym od stanu gazowego przez ciekły do stałego.

Te niezwykle liczne hypotezy mają wszakże to wspólnego, że wszystkie przypuszczają panowanie w głębi ziemi wysokiej temperatury, i zgadzają się na jedno, że pod stałą skorupą znajduje się bądź ciekła magma, bądź stała pod wpływem wysokiego ciśnienia.

Tutaj właśnie, w tej warstwie ciekłej czy też zgęszczonej przez ciśnienie, szukać należy przyczyn wulkanizmu.

Dla dawniejszych hypotez, przypuszczających istnienie cienkiej tylko skorupy stałej, wulkanizm był zjawiskiem niezmiernie prostem i zrozumiałem. Cienka skorupa nie mogła stawiać dostatecznego oporu działającym na nią potężnym falom ognistego morza magmy, pękała więc, a przez szczeliny magma wydobywała się nazewnątrz pod postacią lawy. A ponieważ jest ona zawsze nasycona parą wodną i gazami, więc wypływom lawy towarzyszą wybuchy pary i gazów. To zaś, że większość wulkanów szereguje się koło wybrzeży morskich, przypisywano przesiąkaniu wody morskiej, która w zetknięciu z magmą dawała parę wodną; prężność pary miała właśnie powodować wznoszenie się lawy w kraterach.

Dokładniejsza znajomość zjawisk wulkanicznych wykazała nieścisłość powyższych przypuszczeń. Rzeczywiście, większość wulkanów stoi blizko morza, niektóre wszakże położone są na znacznej od niego odległości, jak np. wulkany Tian-Szanu; zresztą i wiele z tych, które na mapach o małej podziałce zdają się być położone tuż przy morzu, w rzeczywistości odległe są od niego o sto i dwieście kilometrów, jak np. wulkany Ekwadoru lub Meksyku. Przesiąkania wody morskiej w tak wielkich ilościach, jakich wymaga wspomniana hypoteza, wydaje się na podobne odległości niemożliwem.

Zresztą, jak widzieliśmy wyżej, istnienie cienkiej skorupy, pokrywającej ognistopłynne wnętrze, jest bardzo wątpliwe. Jakikolwiek jest stan wnętrza ziemi, stały, ciekły, czy gazowy, skorupa ziemska jest niewątpliwie znacznie grubsza, niż przypuszczano dawniej. Wobec takiej grubości skorupy przesiąkanie wody do magmy wydaje się wysoce nieprawdopodobnem. Skąd jednak w takim razie zawiera lawa tak znaczne ilości pary wodnej i różnych gazów, jakie zawsze obserwujemy? Część ich pochodzi może ze skał, położonych we mniejszych głębokościach, przez które przedziera się lawa, większość zaś była zapewne rozpuszczona w magmie, może jeszcze od tworzenia się skorupy ziemskiej, gdyż przy bardzo wysokich temperaturach, jakie panowały wówczas roztopione skały musiały rozpuścić w sobie ogromne ilości gazów.

Najważniejszym postępem w badaniu wulkanów było zdobycie pewności, że warunkiem ich istnienia jest nie sąsiedztwo morza, lecz szczeliny w skorupie ziemi. Nad takiemi szczelinami tworzą się wulkany, zwykle grupami ustawione w szereg wzdłuż szczeliny, bez względu na odległość morza. Ponieważ jednak większość dużych szczelin, wzdłuż których odbyły się lub odbywają ruchy dyzlokacyjne, tj. przesuwania się części skorupy ziemi, biegnie wzdłuż wybrzeży mórz, zawdzięczających swe pochodzenie zapadlinom, więc i większość wulkanów leży na wybrzeżach morskich. Olbrzymi wieniec wulkanów opasuje dokoła Ocean Spokojny, mniejszy, lecz równie zasługujący na uwagę, tworzy małe Anty-

le, otaczające morze Karaibskie wulkany włoskie otaczają morze Tyrreńskie.

Wszystkie te wybrzeża wulkaniczne posiadają jedną wspólną cechę: ląd gwałtownie się urywa, i w pobliżu samego wybrzeża spotykamy największe prawie głębokości.

Dowodzi to, iż morza owe powstały drogą obsunięcia się dna wzdłuż potężnych szczelin, na których wykwitły liczne wulkany. Nie wiemy dokładnie, do jakiej głębokości mogą sięgać podobne szczeliny, z pewnością jednak są one nader głębokie i dochodzą do miejsc, w których panuje temperatura, dostateczna do stopienia skał wybuchowych. Jeżeli na tej głębokości, jak chcą jedni, występuje już ciekła magma, wznosi się ona poprostu po otwartej szczelinie aż nad powierzchnię ziemi, parta w części przez ciśnienie skał, ciążących na niej, przedewszystkiem zaś przez prężność zawartych w magmie pary i gazów.

Nieco odmienne i bardziej złożone są warunki dobywania się magmy przy tak wielkiej grubości stałej skorupy, że nawet owe potężne pęknięcia nie dochodzą do przykrytych przez nią warstw ciekłych. W stanie stałym bez względu na temperaturę, magma może istnieć tylko przy nader wysokiem ciśnieniu. Pod otwartą szczeliną dyzlokacyjną ciśnienie to zostaje gwałtownie zmniejszone—magma się topi, zawarte w niej gazy i para wodna, rozpuszczone pod wysokiem ciśnieniem, wydzielają się obficie i gwałtownie w razie jego zmniejszenia i przez szczelinę wypierają magmę na powierzchnię.

Zapoznaliśmy się tedy z prawdopodobnemi przyczynami zjawisk wulkanicznych, które, choć dla nas olbrzymie i potężne, są wszakże tylko drobnymi objawami, towarzyszącymi podobnie jak i trzęsienia ziemi, doniosłym choć powolnym zjawiskom dyzlokacyjnym, kształtującym powierzchnię kuli ziemskiej. Obsunięcie się szmata jej skorupy, może o parę milimetrów tylko, wywołuje trzęsienie ziemi, niszczące odwieczne i trwałe napozór dzieła człowieka, i wypiera z jej wnętrza ławę i popioły, niszczące całe miasta i kraje.

Lecz do sił, ukrytych wewnątrz ziemi, niepodobna przykładać ludzkiej miary.

*Jan L.*

## LITERATURA I SZTUKA.

### POEZYA I RYMY.

Józef Wiśniowski: *Poezye*. Kraków, 1901. — Wacław Wolski: *Poezye*. Serya I. Warszawa, 1902.

W tem lub owem czasopiśmie oko nasze przesunęło się, być może, po nazwisku p. Józefa Wiśniowskiego; w obecnej jednak chwili, gdy je czytamy na okładce sporego zbiorku poetyckiego, nie odnawiamy tylko znajomości z autorem, lecz zabieramy ją po raz pierwszy. Te utwory, pisane, według daty, umieszczonej na końcu książki, w latach 1896—1901, są to chyba pierwociny pracy młodego jeszcze autora. Upewniają nas zresztą w tem przypuszczeniu liczne niezręczności i naiwności stylowe, rozsiane gęsto na każdej niemal stronie zbiorku (wiatr „to łka smętnie lub *wprost* wyje"). Do tych niezręczności zaliczylibyśmy, obok autologii, nadużycie t. zw. zdwojenia, w wyrażeniach nieposiadających szczególnego nacisku myślowego. „Czar złoty rozlał się po jasnem tle błękitu, *I cały, cały* raj zdjął niemy dreszcz zachwytu." W ten sposób dopełnia się miary wiersza. Wspominam o tych szczegółach nie z przesadnej gorliwości zoilowskiej, lecz że same natrętnie rzucają się w oczy, obniżając wrażenie, i że znamionują niewprawną jeszcze rękę. Gdybyśmy mieli do czynienia z owocami dojrzalszej już muzy, poważniejsze od wytkniętych posiadałyby znaczenie inne braki, jak np. brak oryginalności w motywach i w kolorycie, o czem jeszcze wspomnimy, jak skojarzenia w rodzaju: „ciszył szał," ciszy kojącej w dodatku (odpowiednik do modernistycznej wyjącej lub łkającej ręki), jak prozaiczne komentarze, lub niemniej prozaiczne wnioskowanie za pomocą matematycznych niemal terminów wnioskujących, pozwalających itd., gdzie spodziewaliśmy się raczej obrazu, uczucia, lub perspektywy myślowej. „W cyrku np. spoglądamy na tłumy, co „wrą namiętną żądza igrzysk, *tak ściśle związanych złą erą krwi*..." Dawniej „stokroć więcej cierpiała ludzkość, *oraz* pod obuchem była tak często (cierpieć *oraz* być pod obuchem, czy to nie jedno?), dla czegóż goręcej czuła? Czyż większą od nas była duchem? *Zapewne, jednak głównie głos* twój (głos pieśni) kazał..." To nie poezya, to rozprawa rozwlekła i nużąca. „Nic nie kala tak, jak cynizm nawet czystych *zresztą* dusz." To wszystko miałoby poważniejsze znaczenie, gdyż świadczy, bądź co bądź, o wyobraźni niezbyt żywej i ociężałym polocie poetyckim. Pierwszych kroków atoli nie możemy zbyt surowo oceniać, gdyż nie przesądzają one przyszłości. To też w jasnowidztwo prorockie bawić się nie chcemy, stwierdzamy tylko, że, jak na teraz, poezya p. Wiśn. głębszych wzruszeń nam nie dostarcza, chociaż na tle rozdzierającego uszy ćwierkania piskląt poetyckich wyróżnia się, bez wątpienia dodatnio.

Największy udział w natchnieniach p. W. mają obrazy przyrody i nastroje, wywołane różnemi chwilami jej życia. Rośliny i zwierzęta, żywioły nieba i ziemi, otwarte równie i leśne ostępy, obrazy mroczne lub jasne, dzień i noc—wszystko to wciąż przewija się przed naszemi oczyma, a jeśli nie występuje otwarcie, to wkracza na widownię pod najrozmaitszemi pozorami, w rozmyślaniach, widzeniach, wspomnieniach mitologicznych, erotykach i t. p. Jeżeli w innych działach, np. w „echach" z przeszłości, niekiedy przesadnie tragicznych, gdzieindziej gawędziarskich lub „na pocieszenie serc" świąteczno-fanfarowych, dopatrzyć się zechcemy tu wierszowanych cytat „z Trylogii" lub „Krzyżaków", owdzie kolorytu, zaczerpniętego od Or-Ota, lub jeżeli w pieśni ludowej uderzy nas nuta Konopnickiej,—pomylić się możemy łatwo. Pomylimy się też może, jeżeli w najmisterniejszych zwrotkach (bo widoczne jest staranie o misterność) lub motywach, dostrzeżemy ślad rozczytania się w Miriamie. Ale nie pomylimy się z pewnością, jeżeli powiemy, iż Tetmajer jest dobrym autora znajomym. Świadczy o tem przedewszystkiem słownik, owe „bezkresne rozwieje" „wyotchłaniania" się i „rozwełnianie się mistycznych mocy, polne „osmętnice" i t. p. Wyrażenia te wsiąkają zresztą powoli w wspólny nasz skarbiec języka. Ale świadczy także i koloryt widoków, te same, co u Tetmajera, bezkresne, słońcem skąpane lub mrokiem owite rozłogi, te same pustki samotne i tajemnicza mowa ciszy, wizye zaświatowych okręgów pokoju i ubłogosławienia. Niekiedy przenika nas jakby dreszcz tajemnych mocy, jakby pogrążenia duszy w prabyty i poczucie się jej taką „jaką w czasie tworzenia swego była." Spojrzcie na ten obraz, jak pieśń „Na kwietną idzie błoń, Wskroś pól przejętych ciszą, Wskroś rzecznych fal, Wzdłuż miękkich polan w lesie. A nad nią zwiewna woń unosi się..." Lubimy spotykać się z Tetmajerem, i nie sprawia nam przykrości to nowe z nim spotkanie...

Ale wśród tego wszystkiego jest i pewna oryginalna nuta, chociaż bardzo nieśmiała półszeptem i półświadomie się odzywająca. I być może w niej właśnie poeta jest najbardziej sobą. Niekiedy przyroda przestaje być nastrojem i chwilą rozmarzenia, staje się tłem, na którym ukazuje się człowiek. Wtedy wkłada na się strój prostszy. „Hen, hen, w szczerem polu, Na przenicznym łanie, Słychać sierpy żeńców, I śmiech i śpiewanie" („Na swojską nutę"). „Kroczy rolnik po zagonie, prując pługiem ziemię czarną..." („Orka"). Wśród *wrażeń* przyjemnych, wśród rozpoetyzowania się i rozśpiewania wiosennego spostrzegamy jakby błysk czegoś, co staje się ukochaniem *ziemi*. Oto widzi poeta swą duszę, jak „Idzie ze smętnem Zamyśleniem wzdłuż ziemi, Z ukochaniem namiętnem Dla tych *zbóż pełnych ról*, Kędy życie się plemi, I każdym niemal tętnem Wnika *w głąb cichych pól*..." („Dusza"). I nie frazes to tylko, bo autor umie odczuć drżenie serca tych, co są najbliżej spokrewnieni z matką ziemią, co nie „piękna" w niej szukają, lecz miłością płacą swej *karmicielce*..." Hej ty ziemio nasza święta, Biedna ziemio ty! Jak królewna śnisz zaklęta, A wkrąg maj już drży! Zbudź się świeża, wypoczęta, do *roboczych* dni!" („Maj"). „Na roli świętej Zjawił się wieśniak i powoli Podszedł by spojrzeć na łan żyta zżęty..." „A z góry słońce Błogosławiło tej pracy, z której Żyć ma tysięcznych tysięcy tysiące" („Stornelle"). Wizya Dziewicy, która płynie nad senną ziemią i „cicha i święta, nad łez padołem Mknąc, ból łagodzi" — wizya tu nie wprowadza rozdźwięku do owych polnych akordów poety... Ale to zaledwie szept dopiero. Jeżeli nie jest to znowu jakaś naleciałość „nastrojowa," być może kiedyś autor zmusi nas do słuchania siebie.

Co do refleksyj p. W., jego zgrzytów pesymistycznych, to znów pobudek i haseł, są one zbyt ogólnikowe i niewyraźne — więc też je pomijamy.

Ani wesołych hejnałów, pełnych wiary i nadziei w przyszłość, ani pouczających, dodających otuchy hymnów nie przynosi nam smętna, pełna zwątpienia muza p. Wolskiego. Skąd pochodzi to zwątpienie i ta tęsknota? Czy stąd, że zagadka istnienia przeraża go swą tajemniczością, i że ilekroć chce uchylić zasłony, dostrzega tylko nicość lub przychodzi do przekonania, iż światy są tylko kulami w ręku „wielkiego żonglera," które on wedle kaprysu rzuca w tę lub inną stronę? A może stąd, że miękka i wrażliwa natura poety pożąda współczucia a nie znajduje go, zamyka się w pozornej obojętności?

„Nieznanym" poświęcił swe utwory p. Wolski; chciałoby się uzupełnić dedykacyę: obcym i dalekim. Czuje się on samotnym, a samotność ta mu cięży. Odwracając się od świata, zapatrzony w głąb własnej, zmęczonej duszy, „snuje z siebie zwrotek tęczowe kokony, jak zwoje wstęg szumiących." I w tem jednak tęczowem królestwie poezyi próżno szuka ukojenia, a chwilami wyrywa mu się skarga na życie ślimacze „wiecznie zapatrzonego w siebie samoluba."

Czy nieznani i dalecy słuchacze znajdą w swem sercu współdrgające struny? Nie wiem. Zdaje mi się przecież, że od poezyi pana Wolskiego wieje ten chłód, który serc nie rozgrzewa. Poeta nie kocha życia, ucieka przed niem. Nie kocha przedewszystkiem w tem najprostszem znaczeniu, że na dojrzany uśmiech ludzkiej istoty nie działa uśmiechem i rozradowaniem, na dosłyszany jęk — własnym bólem. Dla „brutalnego i dzikiego tłumu, co się fałszywem ludzkiem dostojeństwem puszy," ma tylko spojrzenie pogardy. Skądkolwiek pochodzi ów ból, o którym tak wiele czytamy w poezyi p. Wolskiego, zdaje się jednak, iż niezależny jest on od świata i spraw jego, od jego urządzeń, krzywd i niesprawiedliwości. Suma tych ostatnich mogłaby się powiększyć lub zmniejszyć, a nie wywarłoby to na poetę silniejszego wrażenia.

Nie wymagamy zresztą zgoła filantropii od poety. W imię jakiej przecież świętości przybiera on swą wyniosłą pozę? Przeczytajmy jego „wyznanie wiary." Autor jakby wyklina samą zasadę życia. Oto oprowadza nas po bezmiernych przestrzeniach nieskończoności. I tu nie wyczujemy żadnego ukochania. I to wszystko jest dla poety obojętne lub nawet wstrętem go napełnia i odpycha. Jakże nas pociągnąć może? Bo słuchajcie: „Do ściemnionych globów uśmiecha się *czule* (?) słoneczny żongler, w szacie złotowzorej... Milion słońc razem podrzuca niedbale, wpatrzony smętnie w nieprzejrzane mroki, *nader ucieszne* wyprawiając skoki, aby utrzymać w równowadze szale..." Gdy więc autor ukaże nam światy, huczące w straszliwym pędzie, popękane planety, zapadające w przepaść księżyce, złomy słońc obumarłych (zwykłe tło jego „wizyj" i „nastrojów"), wobec całej tej grozy pozostajemy całkiem spokojni. W wyrazach jest jej dużo, zbyt mało w *obrazach* i w *uczuciu*... Nie przeraża nas też „wizya," w której poeta spogląda na samego siebie, spoczywającego w granitowej trumnie, „zimno, dumnie i szydersko uśmiechniętego," chociaż szatan, dźwigający tę trumnę na barach przy gromów huku i świetle błyskawic, uronił „łzę krwawą nad strasznym człowiekiem, ze sfinksowym uśmiechem idącym na mary." Wina bezwrażliwości takiej spoczywa prawdopodobnie w naturze naszej, odmiennej od szatańskiej, ale też cokolwiek zapewne i w tej okoliczności, iż p. Wolski najgroźniejsze i najjaskrawsze rzeczy opowiada wciąż tym samym spokojnym, zmatowanym tonem, wyłączającym wszelkie wzruszenie...

A jednak muza p. Wolskiego z harfy swej wydobywa niekiedy dźwięki wytworne i harmonijne; a jednak utwory jego, nawet wobec tak powszechnego dziś wyrobienia formy, zwracają czasem uwagę kunsztownością. Wielka rozmaitość w układzie i budowie zwrotek, wykwintność rymów i troskliwe unikanie pospolitych wyrażeń i zwrotów — wszystko to mile pieści ucho. Znaczną część zbioru stanowią sonety. „Ukochałem najkruchszy filigran z kryształu" - powiada autor o sobie. Niektóre z nich (przypominamy tu parę, jakby wzorowanych na Miriamie, o podwójnych rymach) istotnie wywołują złudzenie „kryształowego filigranu." Wszystko to prawda, a jednak... braknie tym ładnym nieraz rzeczom ciepła...

Swoją drogą, budowa niektórych zdań bywa czasem zbyt sztuczną i jakby wysiloną; i pomimo że przywykliśmy już do najdziwaczniejszych zestawień i analogij, zatrzymujemy się niekiedy w niepewności przed zwrotem w takim np. rodzaju: „Cieniuchne lancety promieni złotookich, przeorysz zmroku rozdzierają pierś ciemnego powietrza, zbroczone krwią złotą..."

*A. Drogoszewski.*

## Z MUZYKI.

Ignacy Paderewski: *Manru*, opera w 3 aktach, libretto Alfreda Nossiga, przekład polski St. Rossowskiego.

Opera „Manru," z punktu widzenia muzycznego *), składa się z dwóch części: jedna obejmuje akt pierwszy, druga — dwa pozostałe. Są to działy nierównej wartości co do siły talentu, która się w nich objawia: w akcie pierwszym nie widzimy jeszcze tej obrazowości tonów, która tak potężnie przemawia do nas w dalszym ciągu utworu, tego umiłowania przedmiotu, który nadaje mu cechy piękna i życia.

*) Obszerniejsze sprawozdanie z „Manru" *Prawda* pomieściła w nr. 24 r. z., z powodu wystawienia tej opery we Lwowie. (*Przyp. Red.*).

Operę zaczyna chór dziewcząt wiejskich, wesoły, nawet figlarny w rytmie, a na tem jasnem tle rysują się dramatyczne skargi Ulany i Jadwigi, oraz dzikie wykrzyki Uroka, mającego od początku charakter dosyć nieokreślony. Ale motywy chóru zawierają zarówno w melodyi, jak w rytmie, niewiele stosunkowo cech wiejskich, i stąd powstaje pewnego rodzaju kontrast między wrażeniem słuchowem a wzrokowem.

Co do Ulany i Jadwigi, odzywają się one frazesami muzycznymi, odpowiadającymi treści słownej, ale jest tu pewna urzędowość, pewien brak tej oryginalności, która odróżnia dzieła wielkiego talentu od rzeczy na chłodno pojętych. To też boleść Ulany znajduje słaby tylko oddźwięk w duszach słuchaczów. Zato bardzo charakterystyczny jest taniec górali, pełen ognia i werwy; nie jest to już winą Paderewskiego, że w tańcu „zbójnickim" z ciupagami biorą udział tancerki, co w rzeczywistości nigdy się nie zdarza.

Takie jest wrażenie nasze z pierwszej części opery. Wiele tu ciekawej roboty, szczególnie w partyi Uroka, ale mało prawdziwej iskry bożej.

Część druga — to całość odrębna, jednolita, o niepospolitej wartości muzycznej. Drga tu prawda uczucia, którą tylko natchnienie dać może, rozbrzmiewają symbolicznie pojęte głosy przyrody, a zasadniczym tonem jest tęsknota, szarpiąca duszę cygana. Wybucha ona w krótkich jego westchnieniach całą gamą odcieni, rozlewa się w dłuższych nieco zdaniach, a przedewszystkiem dźwięczy w motywach o charakterze melodyj cygańskich. Jest ich niewiele: pieśń skrzypcowa Jaga, marsz cygański i motyw Azy. Tęsknota przycicha jedynie w kołysance Ulany i piosnce miłosnej Manru. Słyszymy tu tylko kilkotaktowe tematy, ale autor rozwija je w orkiestrze z pomysłowością zadziwiającą, bo wskutek ciągłej zmiany barwy instrumentalnej nabierają one, zda się, nowego znaczenia, oświetlają z różnych stron uczucia, wypowiadane tonami. Na takiem czysto symfonicznem tle odcinają się urywkowe zdania, *parlanda* bohaterów „Manru." Bo niema tu wcale popisowych aryj, duetów itd., całego arsenału oper szkoły włoskiej. Głosy instrumentów muzycznych uzyskały już dawno w operach równouprawnienie z głosem ludzkim. Ale Paderewski z nowej szkoły wziął tylko formę symfoniczną: jego pomysły, ich ucinkowość, ich opracowanie nie mają nic wspólnego z „nieskończoną melodyą" Wagnera, ani z rozmyślnym chaosem polifonicznym najmłodszych wagnerzystów. Krótkie tematy naszego kompozytora nie mają ani głębi, ani burzliwego rozmachu pomysłów mistrza z Beyreuth, mają za to wdzięk chopinowski i tę ukrytą, czysto swojską łzę żalu. Dość wspomnieć zdanie Manru, rzucone braciom-cyganom, tak proste w budowie, a tak wzruszające szczerością nastroju.

Szczerość uczucia, obrazowość wywołana środkami pozornie prostymi, opartymi właściwie na gruntownej znajomości efektów dźwiękowych, jest głównym czarem drugiej części „Manru." Wiedza muzyczna, estetyczna miara, pomysłowość w wyzyskaniu materyału orkiestrowego pozwalają Paderewskiemu dać tak bogatą oprawę rzutom swego natchnienia, że całość staje się klejnotem, misternie i sumiennie wycyzelowanym.

Jeżeli w pierwszej części, w rolach Ulany i Jadwigi, autor nie uniknął pewnego szablonu, w części drugiej nie usłyszeliśmy ani jednego frazesu banalnego, nawet podczas burzy, choć w takim obrazie jakże łatwo nadużyć dźwięku kotłów i kontrabasów. Ale właśnie epizod z burzą i poprzedzające go *intermezzo* są najbogatszą muzycznie cząstką dzieła. Szczególnie instrumenty smyczkowe wywołują silne wrażenie zaklętą w nich groźbą nieokreśloną.

Opera Paderewskiego wymaga wykonawców inteligentnych, których na scenie naszej znalazła. Orkiestra, pod dyrekcyą p. Podestiego, spełnia wybornie swe zadanie. Chóry nietylko śpiewają poprawnie, ale ruszają się żwawo, naturalnie, porzucając nareszcie pozy automatów. Panna Korolewiczówna może zaliczyć rolę Ulany do swych najlepszych kreacyj, śpiewa ją bowiem ze zrozumieniem i przejęciem rzadko u niej spotykanem w tym stopniu. Rolę Uroka śpiewa p. Górski. Jak ją pojął? Na to pytanie trudno odpowiedzieć, a nawet libretto nie daje dostatecznych wskazówek, jak rolę tę pojmować należy. W każdym razie sądzimy, że p. Górski mógłby złagodzić swoje wykrzyki, brać je niższym regestrem głosu i pozbawić miejscami swą rolę operetkowego zabarwienia. Bandrowski, jako Manru, grał z siłą i prawdą mistrzowską. Chcąc ocenić należycie talent znakomitego śpiewaka, trzeba go zobaczyć w tej roli, wycieniowanej psychologicznie w najdrobniejszym szczególe. Z każdej sytuacyi umie on wydobyć mnóstwo nastrojów i budzi wśród słuchaczów podziw i zachwyt niekłamany.

*Remi.*

## Adolf Dygasiński.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Niby jesienne kwiaty z nadejściem mrozów, jeden po drugim kryją się w mroku grobowym pracownicy zasłużeni, którzy przez długie lata byli ozdobą i chlubą literatury ojczystej i z kart jej nigdy nie zejdą. W słoneczne popołudnie czerwcowe, w zakładzie dla nerwowych w Grodzisku, gdzie złożony niemocą przebywał od marca, zamknął na zawsze powieki w sześćdziesiątym czwartym roku życia autor „Wilka, psów i ludzi," „Głodu i miłości," „Niezdary," „Dramatów łubadzkich," „Zająca," „Godów życia" i długiego szeregu innych nowel i powieści, pisarz dużego i oryginalnego talentu i zarazem pedagog zamiłowany i niepospolity.

W dzieciństwie jeszcze miał on sposobność poznać dobrze wieś i przyrodę; podczas wędrówek od dworu do dworu z ojcem, zwykłym oficyalistą wiejskim, gromadziły się już zapewne w jego duszy wrażenia i barwy, których odbicie znajdziemy w wiele lat potem w twórczości okresu dojrzałego. Ze wsią nie zerwał zresztą nigdy. Po sześcioletnich studyach w Szkole Głównej, próbował różnych zawodów; życie wogóle nie słało mu kwiatów pod nogi. Zrażony spotykanemi przeciwnościami, powracał parokrotnie z upodobaniem do stanowiska nauczyciela domowego, co pozwalało mu odświeżać wrażenia wczesnej młodości.

Działalność pedagogiczna zmarłego pisarza była płodna i pożyteczna. Obok wielu przekładów oraz krótszych i dłuższych rozpraw samodzielnych, ogłaszanych przeważnie w pismach o barwie postępowej, zawdzięczamy jej między innemi takie dzieła trwalszej wartości, jak „Nauczanie bez książki," „Jak się uczyć i jak uczyć innych?", „Lekcye o rzeczach" i wiele innych. Lecz w piśmiennictwie naszem Dygasiński zapisał przedewszystkiem swe imię, jako twórca nowego u nas zupełnie rodzaju — noweli i powieści zwierzęcej. W tej dziedzinie jest on jedyny i niedościgniony, nikogo nie naśladował i niełatwo dał się naśladować, należy też niewątpliwie do najoryginalniejszych pisarzów wogóle.

Kochając, jak mało kto, przyrodę, patrzał na nią okiem filozofa i poety. Na każ-

dym kroku dostrzegał działanie odwiecznych praw natury, obowiązujących w równym stopniu świat zwierząt i ludzi, lecz serce jego otaczało szczególną miłością jednostki upośledzone i słabe, ustępujące silniejszym w morderczej walce o byt. Obok nowel i powieści, w których odtwarzał znakomicie życie i psychologię psów, lisów, wilków, jastrzębi, zająców, wróbli i innych przedstawicieli świata zwierzęcego, z pod pióra jego wyszła przed paru laty wartościowa rozprawa p. t. „Nędzarze życia," gdzie w szeregu szkiców skreślony został wymowny obraz niedoli zwierząt w ciężkiem jarzmie ludzkiem. Dygasiński malował również z dużym talentem i znajomością przedmiotu najniższe warstwy ludowe, oraz wszelkiego rodzaju oficyalistów dworskich, gajowych, strzelców, kłusowników itp. Rządzące światem prawa występują tu, na nizinach życia, w całej swej bezwzględnej nagości.

O powieściach i nowelach Dygasińskiego pisaliśmy w *Prawdzie* parokrotnie. Ostatnim jego utworom beletrystycznym poświęcimy niebawem osobne sprawozdanie.

*Wł. B.*

## *Notatki literackie i artystyczne.*

— Jan Adolf Hertz: *Z teki wrażeń.* Kraków, u Gebethnera i Sp., str. 44.

Kilkanaście drobiazgów i urywków złożyło się na cieniutki tomik, świadczący raczej o pretensyonalności młodego autora, niż o jego talencie, o którym na zasadzie tej książeczki nic jeszcze powiedzieć nie można. Pewną wartość literacką ma tam właściwie jeden tylko obrazek, „Ostatnie *Kol Nydraj*," malujący śmierć z pieśnią religijną na ustach oślepłego chórzysty synagogalnego Wogóle jednak zauważyć można, że niejeden z nas pisał w zaraniu młodości różne zwierzenia literackie, nacechowane płaczliwym trochę idealizmem, napół dziecinnym *Weltschmerz'em* i lubowaniem się w rozważaniu różnych drobnych i niezasługujących na uwagę drgnień własnej duszy, ale niekażdy się spieszy z ogłaszaniem w pismach i książkach takich młodocianych zadatków twórczości. No i nie każdy miałby odwagę, po zacytowaniu przecudnego, lecz przekręconego przez p. Hertza „Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze — smutno mi, Boże!" — dodać od siebie: „Smutno mi, smutniej o wiele, niż Słowackiemu," bo frazes taki może się wprost wydać bluźnierstwem. Wątpimy również, czy twórca „Ludzi bezdomnych" będzie wdzięczny panu H. za oryginalne „streszczenie" tej powieści na paru ostatnich kartkach zbiorku. Mało kto w każdym razie zdobyłby się i na to. Zamiłowanie do krzykliwości występuje w rażący sposób w zakończeniu „Modlitwy wieczornej," gdzie autor obiecuje znienawidzieć odchodzące słońce, *plunąć* na nie resztkami swej „skrzepłej, zatrutej, rozkładającej się krwi," i grozi mu, że pochwyci bryłę ziemską i „sam własną dłonią" (?) rzuci ją na słońce „z taką siłą i wściekłością, że ono w proch się rozsypie i jak proch u nóg jego legnie." Biedne słońce!

*Wł. B.*

— W osobnej sali Towarzystwa sztuk pięknych wystawiono dar p. Mathiasa Bersohna — zbiory rysunków, szkiców i akwarel artystów polskich i zagranicznych. Te z górą dwieście prac przedstawiają wartość bardzo różnorodną. W każdym razie da się wśród nich wyróżnić znakomity portret miniaturowy pani de Grotten, wykonany przez Marszałkiewicza, portrety Molinarego i główkę Gersona. Dobrze wykończone są akwarele z motywów architektonicznych i dekoracyjnych Podczaszyńskiego i Krysińskiego. Ładne i subtelne są prace Japończyka Hokouasi. Zwracają uwagę: główka Konopackiego, szkic Maksa Gierymskiego i krajobrazy Podczaszyńskiego, Breslauera, Zannetta i Zajdlitza. Ciekawym przyczynkiem do historyi malarstwa polskiego są też różne prace wybitnych artystów naszych, jak: Orłowski, Kokular, Piwarski, Suchodolski, Czechowicz, Smuglewicz, Hadziewicz i inni. Większość jednakże ma wartość bardzo niewielką, a zupełny nieład w rozwieszeniu i skatalogowaniu zdradza pracę doryweczą lub bez doświadczenia.

— Jan Józef Benjamin Constant, znany malarz francuski, zmarł w Paryżu 26 maja r. b. Urodził się również w Paryżu 1845 r. Po studyach w miejscowej szkole sztuk pięknych pod kierunkiem Cabanela, od r. 1869 zaczął wystawiać swe prace. Wkrótce upodobał sobie sceny wschodnie i odbył podróż do Algieru i Marokka. Wszedłszy przez swą żonę do wybitnej i wpływowej rodziny Arago, zyskał silne poparcie i protekcyę dla swych rzeczywistych zdolności malarskich i równie wielkiej zręczności w robieniu karyery. Malarz-wykonawca pierwszorzędnej siły, kompozytor zręczny choć pretensyonalny, a jednocześnie inteligencya ciasna: był typowym przedstawicielem tej plagi dla rzeczywistej sztuki, która ją uważa nie za najwyższy cel, ale za wyborny środek do wybicia się po nad tłum. Miał tysiące uczniów, których mógł nauczyć i dobrego malowania i sposobów szybkiego robienia karyery, ale nie potrafiłby im wskazać żadnych wyższych dążeń i ideałów artysty. Jeździł po dworach zagranicznych, malując portrety i robiąc majątek. Zostawił też w tym kierunku kilka prac znakomitych. Za jedną z nich, p. t.: „Portret mego syna Andrzeja," zdobył w r. 1896 najwyższą nagrodę w Salonie paryskim — medal honorowy, taki sam, jaki Matejko dostał w r. 1878 za „Unię Lubelską." Za życia, mimo że nie miał wykształcenia, był członkiem Akademii sztuk pięknych; posiadał też wysoki tytuł komandora legii honorowej i był kawalerem licznych orderów zagranicznych; po śmierci pozostał przedewszystkiem jednym z najświetniejszych portrecistów realizmu francuskiego.

*Kropka.*

# KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** Urząd do spraw fabrycznych i górniczych w gubernii Warszawskiej, na mocy okólnika ministeryum skarbu, polecił wszystkim fabrykom i zakładom przemysłowym, podlegającym inspekcyi fabrycznej, aby listy imienne robotników, oraz inne księgi, ustanowione w celu dozoru nad zakładami przemysłowymi, były prowadzone w języku rosyjskim. Następnie zarządom fabryk i zakładów przemysłowych urząd fabryczny zakomunikował regulamin zawierania umów z robotnikami, wydawania zadatków, samowolnego opuszczenia przez robotników fabryk i t. d.

— Uczniowie gimnazyum w Poznańskiem, skazani za należenie do stowarzyszeń tajnych, nie otrzymali odpowiedzi na wniesioną do cesarza prośbę o ułaskawienie, lecz natomiast wezwano ich, aby się stawili do więzienia.

— *Rizskij Wiest.* donosi, iż w Rydze zapanował tak wielki brak pracy, że robotnicy gromadnie opuszczają miasto, udając się do innych miejscowości w nadziei znalezienia zarobku.

— W Augustenthal nieznani sprawcy zburzyli wystawiony niedawno pomnik Wilhelma II.

— Ministeryum komunikacyj poleciło, aby do ksiąg zażaleń na stacyach wpisywano decyzye i wyjaśnienia na wnoszone skargi.

— Niemiecka partya postępowa w Wiedniu uchwaliła założyć protest przeciw utworzeniu polskiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie.

**W dalszym ciągu.** Austryacka izba panów, jak donosi telegraficznie *Kuryer Warszawski*, zezwoliła na sądowe ściganie za grę hazardowną członków swoich: Romana hr. Potockiego i br. Baworowskiego. Niektóre nasze rody arystokratyczne znalazły, jak widzimy, wygodną ścieżkę, prowadzącą niechybnie „do sławy grobu."

**Szach i Watykan.** Dziwaczne ceremonie, jakim poddawać się muszą panujący i książęta, goszczący w Kwirynale, gdy chcą odwiedzić papieża, tak zraziły szacha perskiego, że wyrzekł się tego zaszczytu. Żądano mianowicie od niego, żeby nie jechał z Kwirynału i nie w powozie króla włoskiego. Kwarantannę miał przeto odbyć w poselstwie perskiem i stąd dopiero udać się na wizytę w powozie posła belgijskiego przy Watykanie, barona d'Erp, który był niegdyś przedstawicielem swego rządu przy dworze perskim i ofiarował się z pomocą w tej trudnej sprawie. Lecz, jak się okazało wkrótce, i tego było niedosyć. Kardynał Rampolla oświadczył, że nie będzie mógł oddać wizyty szachowi w gmachu poselstwa przy dworze włoskim, że przeto trzeba wybrać pałac któregoś z przedstawicieli obcych mocarstw przy Watykanie, i zaproponowano siedzibę posła pruskiego lub mieszkanie którego z kardynałów, jako miejsce chwilowej gościny monarchy perskiego. Ten ostatni jednak nie poznał się na tych wszystkich subtelnościach i wyrzekł się wizyty. W Watykanie panuje podobno radość, że tak umiano „uratować zasadę," ale i w kwirynale nie stracono dobrej miny. (*Frankf. Ztng*).

**Szkoła i wychowanie.** Uczniowie szkół miejskich typu z r. 1872, którzy przy egzaminie z całego kursu otrzymali stopnie niedostateczne, na mocy postanowienia ministeryum oświaty, mogą być dopuszczani do ponownego egzaminu w celu otrzymania świadectw dających prawo ulgi przy odbywaniu powinności wojskowej.

— Wydano rozporządzenie, aby posady nauczycieli religii ewangielickiej w szkołach rządowych i prywatnych zajmowały osoby, które nietylko ukończyły wydział teologiczny uniwersytetu jurjewskiego, lecz nadto posiadają świadectwo ze zdania w konsystorzu odpowiedniego egzaminu.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że po rozpatrzeniu przepisów obowiązujących kursy pedagogiczne do przygotowywania nauczycieli i nauczycielek szkół początkowych, uznało za możliwe uzupełnić je zmianami następującemi: 1) osoby nieposiadające świadectw z ukończonej szkoły miejskiej typu z r. 1872, mogą być poddawane egzaminowi próbnemu przy przyjmowaniu na kursy; 2) w poczet słuchaczów przyjmowane być mogą osoby wyznania nieprawosławnego w liczbie oznaczonej przez kuratora okręgu naukowego i te, jako przeznaczono dla szkół innych narodowości, zwalniane być mają od języka cerkiewno-słowiańskiego; 3) zapomogi uboższym słuchaczom w warunkach zwyczajnych powiększone być mogą do 100 rb.; 4) słuchacze kursów pedagogicznych, korzystający z zapomóg rządowych, obowiązani są po ukończeniu kursów spełniać obowiązki nauczycieli lub nauczycielek najmniej przez dwa lata; wreszcie kursy pedagogiczne otwierane być mogą przy Maryjskich szkołach żeńskich.

— *Nowosti* donoszą, iż do politechniki petersburskiej przyjętych będzie w jesieni rb. tylko 270 kandydatów, połowa po złożeniu egzaminu konkursowego, a połowa przez losowanie.

— Zwierzchność szkolna poleciła, aby ogrody, znajdujące się przy zakładach naukowych, przeznaczono na stacye doświadczalne dla nauczania poglądowego.

— *Prawit. Wiest.* Ogłosił zatwierdzoną obecnie ustawę ogólnego typu kursów i warsztatów rzemieślniczych i technicznych. Zakładanie tych uczelni ma na celu przyjście z pomocą przemysłowi i rzemiosłom przez przygotowanie uzdolnionych pracowników, którym w obranej przez nich specyalności wykładane będą umiejętności techniczne oraz początkowe wiadomości z zakresu wiedzy, mającej łączności z pewnym zawodem. — W każdym warsztacie wykładanem będzie dane rzemiosło teoretycznie i praktycznie, oraz rysunki i kreślenie, przy warsztatach zaś powstaną kursy przygotowawcze z programem nie niższym od jednoklasowych szkół ludowych. Uczniowie małoletni mogą być przyjmowani na praktykę nawet do oddziałów, gdzie praca jest im wzbroniona. Przyjmowani będą uczniowie płci obojej, bez różnicy stanu i wyznania, do klasy niższej zaś — mający najmniej lat 12 i kwalifikacyę z ukończenia szkół początkowych, a w braku tych ostatnich kandydaci umiejący tylko czytać, pisać i rachować. Warsztaty i kursy zakładane będą przy szkołach przemysłowych, kosztem fabryk, towarzystw przemysłowych i akcyjnych, oraz ze środków prywatnych lub społecznych. Nauka będzie bezpłatna. Oprócz powyższych mogą być zakładane kursy techniczne dzienne, wieczorne i niedzielne, z których korzystać mogą wszyscy bez różnicy płci, wieku, stanu i wyznania.

**Literatura i prasa.** Minister spraw wewnętrznych postanowił wstrzymać na dwa miesiące wydawnictwo gazety *Saratowskij Dniewnik*.

— Rozstrzygnięto ogłoszony w r. z. przez redakcyę *Gazety Świątecznej* konkurs, na utwór powieściowy, nowelistyczny lub artykuł użyteczny. Pierwszej nagrody nie przyznano, lecz postanowiono połowę sumy, tj. 150 rb. rozdzielić między autorów prac najlepszych. Przyznano więc 75 rb. obrazkowi „Zuch baba," po 25 rb. powiastkom: „Pokuta," „Kwiat rodu" i „Antek Zawada." Autorką pierwszych dwóch utworów jest mieszkanka Wołynia, pisująca pod pseudonimem Willi, trzeciego—p. Janusz Korczak (pseudonim), czwartego — p. Zygmunt Dutkiewicz (Socha). Wszystkich prac nadesłano 110.

**Ze sztuki.** Zarząd Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie postanowił ogłosić konkurs na projekt rozszerzenia swych zabudowań: nagroda ma wynosić 500 rb.

— Komitet Tow. Zachęty ogłasza konkurs na tekę do premiów wielkości 58×46½ centym. Materyał i wykonanie dowolne. Prace należy nadsyłać do 15 października r. b. tylko takie, które nigdy nie były wystawiane ani reprodukowane, opatrzywszy godłem, powtórzonem na kopercie, w której powinien się znajdować adres i nazwisko autora. Okładka uznana za najlepszą, otrzyma nagrody 150 rb. i stanie się własnością Towarzystwa. Nagrodzona praca może nie być jednak wykonaną.

— W Salonie Krywulta otworzono wystawę dzieł malarskich i rzeźb, urządzoną staraniem artystów młodych i dano jej nazwę „Wiosennej."

**Zdrowie publiczne.** W Londynie w lipcu odbędzie się kongres międzynarodowy, w celu obmyślenia środków walki ze śmiertelnością dzieci.

**Sprawy ekonomiczne.** Ministeryum komunikacyj pozwoliło na wprowadzenie mechanicznych pojazdów, omnibusów i platform towarowych na wszystkich szosach w Królestwie Polskiem.

— Otwarcie mającej się odbyć w Charkowie wystawy rolniczej odłożono do roku przyszłego.

**Katastrofy.** W kopalniach Coal-Creek, w stanie Tennessee, skutkiem wybuchu gazów 227 górników utraciło życie. Z tych samych przyczyn w kopalni Fernie (Wiktorya) zginęło 170 górników, przeważnie obcokrajowych.

— W Borysławiu, w Galicyi, w kopalniach wosku, nastąpił wybuch gazów naftowych w chwili, gdy robotnicy byli zajęci pracą. Wydobyto na razie 19 ofiar nieżywych i 8 ciężko ranionych.

**Zmarli.** Feliks Nawrocki wybitny fizyolog, długoletni profesor Szkoły Głównej i uniwersytetu warszawskiego, autor wielu wartościowych rozpraw w dziedzinie swej specyalności.

— Kazimierz Lewicki, założyciel i długoletni kierownik warsz. Muzeum pszczelniczego, w 54 r. życia.

— Henry Greville, powieściopisarka fracuska w Boulogne-sur-Mer.

— Dr. Marya Zakrzewska, założycielka szpitala „England Hospital," w Bostonie, w którym też była ordynatorką przez lat 40; pierwsza z kobiet, które otrzymały dyplom doktora medycyny w Stanach Zjednoczonych. Żyła lat 73.

— Arcybiskup Hubert Simara, w Kolonii, typowy przedstawiciel duchowieństwa i centrum katolickiego, który dążył do pogodzenia nauki kościoła i zasad stronnictwa z pruską ideą państwową. Popierał on gorliwie wszelkie rozporządzenia rządowe przeciw Polakom.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu A. R.* Nie możemy wskazać podręcznika, któryby był zupełnie dobry. Niech Szan. Pan spróbuje metody Taussaint-Langenscheidta lub Hugona Bergera; ta ostatnia z kluczem, w oprawie, kosztuje 1 rb. 30 kop.

*P. P. W. w Litewszczyźnie.* Redakcya nie może narzucać powieściopisarzowi tego lub innego poglądu na świat. A przytem czy Sz. Pan sądzi naprawdę, że w życiu cnota zawsze tryumfuje, a występek bywa ukarany?

*P. J. A. H. Avis praematura* — ten tytuł zawiera zarazem charakterystykę bardzo jeszcze „młodocianego" utworu. Nie dla nas.

*Pani J. Grz.* Obrazki „Wiosna" i „Co to było?„ nie odpowiadają wymaganiom *Prawdy*. Banalna gładkość opowiadania nie stanowi nigdy zalety, a tu jeszcze idzie z nią w parze arcy-powierzchowne traktowanie spraw i uczuć ludzkich.

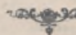
*R. Bettena*

**Hodowla kwiatów w pokoju**

*z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik, sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin, praca więc jego jest oparta na doświadczeniach ścisłych. Jest przytem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady praktyczne zarówno dla miłośników w mieście, jak na wsi.*

*Cena rb. 1 kop. 50, z presyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.*

Skład główny w Administracyi „Prawdy."



## OGŁOSZENIA.

Wyszło w czterech odzielnych częściach dołączane w dodatku kwartalnym do „PRAWDY" dzieło p. t.:

**Wiek XIX**

**Zagadnienia moralne:** A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*
Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

**Wiek cudów** ALFREDA WALLACE'A (tłom. z angielskiego). Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

**Ekonomia i Socyologia** w opracowaniu Dr. S. GRABSKIEGO i Dr. K. KRAUZA. Cena 60 kop., z przes. rekom. 75 k.

**Historya polityczna,** rys dziejów stulecia, w opracowaniu H. GALLEGO. Cena 50 kop., z przesyłką rekom. 65 k.

Skład główny w Administracyi „Prawdy," Sadowa 14.

A. MAKSIMOW:

**Syberya i ciężkie roboty**

*Winni i oskarżeni* . . . . . . . . 1 rb. 20 kop.
*Przestępcy polityczni i państwowi* 1 rb. 20 kop.

Z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 40 kop.
Skład w administracyi „Prawdy."

J. JELLINEK:

**Prawo mniejszości**

z przedmową **Aleksandra Świętochowskiego.**
Cena kop. 20 z przesyłką rekomendowaną 30 kop.
Do nabycia w Administracyi „Prawdy," Sadowa 14.

**PISMA**
**Aleksandra Świętochowskiego:**

**Tom I:** Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50** (na wyczerp.)
**Tom II:** Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20** (na wyczerp.)
**Tom III:** Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**
**Tom IV:** Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**
**Tom V:** Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 60.**
**Tom VI:** Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20** (wyczerpany).
**Tom VII:** Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**
Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

**PORADNIK DLA SAMOUKÓW,**

(wydawany z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego) zawiera **wskazówki do czytania systematycznego** w zakresie wszystkich działów naukowych, począwszy od książek popularnych

**CZĘŚĆ I-sza** (w wydaniu drugiem. Warszawa, 1901; str. XLII+728, C. 1 rb. Treść: Matematyka. Nauki Przyrodnicze z Psychologią.
**CZĘŚĆ II-ga.** (Warszawa, 1899; str. XIV+695. Cena kop. 80). Treść: Nauki Filologiczne i Historyczne.
**CZĘŚĆ III-cia.** (Warszawa, 1900; str. X+446. Cena kop. 80). Treść: Nauki Społeczne, Prawne i Filozoficzne.
**CZĘŚĆ IV** ta i ostatnia (świeżo wydana).
TREŚĆ: Wstęp. (Zestawienie bibliografii naukowej 4 tomów „Poradnika"). Wykaz braków naszego piśmiennictwa naukowego, opr. zbiorowe. — System wykształcenia i wykształcenie ogólne; program wykształcenia ogólnego, opr. L. Krzywicki. — Logika iteorya poznania, opr. A. Mahrburg. — Filozofia i metafizyka, opr. A. Mahrburg. — Pedagogika, opr. S. Karpowicz. — Metodyka, opr. A. Szyc. — Historya pedagogiki, opr. Piotr Chmielowski. — Popularyzacya wiedzy i samouctwo (biblioteki i uniwersytety ludowe). — Dopełnienia do 3-ch pierwszych tomów. — Skorowidz do części III i IV. — Pytania i odpowiedzi. (Warszawa, 1902, str. CXIII+492, z 21 ilustracyami w tekście. Cena 1 rb. 20 kop).
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Мая 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.